

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 9 listopada 1952 r.

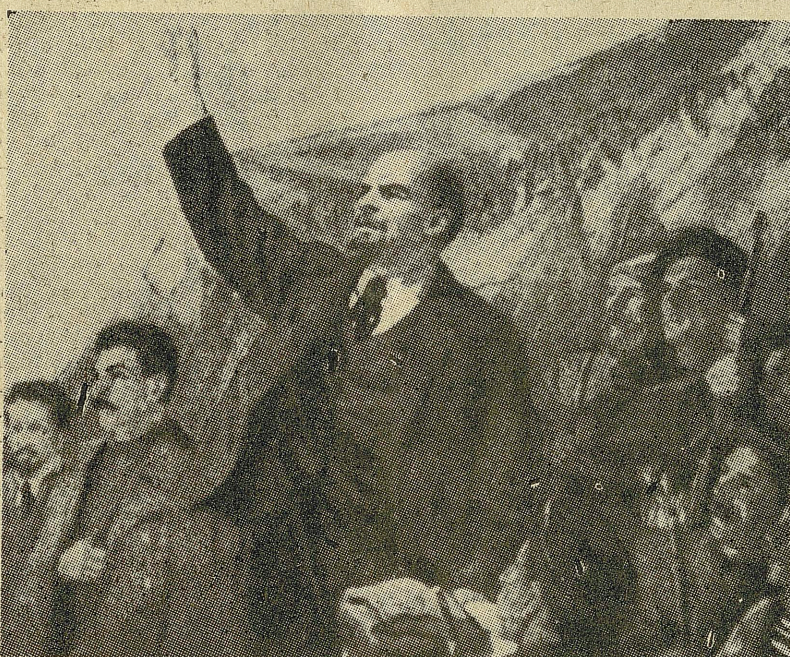
Nr. 45 (379)

W NUMERZE:

J. WROBLEWSKI — Najsilniejsza fala. M. LESNIAK — Dwa światy — dwie dyplomacje.
Z. ZALEWSKI — Nad brzegiem Wisły. Z. KORNACKA — Kobieta w kołchozie.
K. KAMINSKI — Na fermie hodowlanej. S. CIESLAK — „Do coraz lepszego życia...”
G. TIMOFIEJEW — Towarzysze pracy i walki. M. KOWALSKA — O chlebie i soli.
J. STEFANIAK — Moskwa! Z. BARCHANOWSKA — Spotkania.
H. FILUTOWICZ — Numer 2458. J. KOPROWSKI — Ballada o Leninie.



L. Trofimow „Wiść o Rewolucji”.



J. Rejner — „Cała władza Radom!” (z serii: „Marynarze Aurory w 1917 r.”)

DYMITR FURMANOW

Niezapomniane dni

WIEDZIELISMY, że przelot nastąpi 25 października — właśnie 25, ani o dzień wcześniej, ani później. Główna walka będzie stoczona w Pitrze i w Moskwie — tam rozstrzyga się niemal wszystko.

Tam więc będzie potrzebna nasza pomoc. Na-leży im powiedzieć, że jesteśmy gotowi, że możemy im dać naszych najlepszych żołnierzy, że tu, u siebie, jesteśmy zwycięscy.

Kiedy jedno miasto po drugim, dziesiątki, setki miast obwieszcza, że zwyciężyły, że są gotowe nieść pomoc — wówczas dopiero wypełni się zwycięstwo. I wówczas z kolei zwycięży wiś... Wiemy o tym i gorączkowo przygotowujemy się do przelotowych, rozstrzygających dni.

Robotnikom wydano za październik po pięć funtów lichej maki. Więcej już nic nie wydadzą, nie ma żadnej nadziei na jakieś przydziały, nie dostać niepodobna, a ludzie nie mają gdzie, ani za co kupować. Jest bardzo kiepsko.

Chodzimy na wiece, wielotysięczne wiece tkaczy, którzy zbierają się w podwórcach swoich fabryk.

Przychodzimy, sami głodni aż do mdłości i mówimy z nimi o głodzie.

— Robotnicy! Drodzy towarzysze!... Sami widziecie — skąd my możemy wydestać zboże?... W tym tygodniu nawet się nie spodziewajcie, wcale już nie będzie... A później... później być może... nie możemy ręczyć na pewno, ale jest nadzieja... W październiku dostaliście tylko pięć funtów — niedza. Ale co robić, kiedy zboża nie ma na lekarstwo: wszyscy jemy tylko oberzynę z kartofli.

— I oberzynę też nie ma — rozległ się z tłumu jęklący głos tkaczki. Zawtórowała jej głucho sąsiadka — zaszepota starucha o surowym wyrazie twarzy:

— O Jezu, i co my zrobimy...

— Ja wam powiem — krzyk kobiety przechodził w skowyt — powiem wam co zrobić: u mnie dzieci już trzeci dzień nic nie żartują!... Też mi gadanie — to pod naszym adresem — co mi z twoich słówek, chleb dawaj! Chleb, bo inaczej to pluję na ciebie... To ci powiem...

Tkaczki stoją w ponurym, zaciętym milczeniu, dobrze rozumiejąc zgładziła matkę — nie przeszkadzają jej ulżyć sercu krzykiem, protestem, groźbami. My również milczymy.

A uderzone tkaczki jedna drugą zarażają rozpaczą na wspomnienie głodujących dzieci, boleśnie i dojmująco odczuwają w tej chwili całą mękę macierzyńskiej bezsilności, wolać o pomoc, obrzucać wymysłami i przekleństwami — ale kogo?... Same tego nie wiedzą i zawodzą, niczym nad trumną najbliższych...

Spokojni i poważni stoją w groźnym bezruchu tkaczki...

Uplętywają minuty gwałtownych skarg, oburzenia, nieprzemyślnych protestów i groźb... Morze zacięta, znów można się odezwać. Znowu słuchają z wiarą i zaufaniem. I wiedzą, że pomoc przyjdzie w końcu tylko od Sowietu, od tych to ludzi stojących na beczkach. Ludzi przez nich samych wybranych, którym zawierzili swe życie, a których można tego wylać, wylać na nich cały nie do zniesienia ból udręceń, głodu, chorób i bezustannych, rozpaczliwych braków — swoi ludzie, nie będą się obrażać.

Na te wiece próbowali przedostawać się rzecznicy i w chwilach burzliwego niezadowolenia, gdy padały groźby, sami podnosili krzyk — ale na swój, rzecznicki sposób... Poznał ich, niejednego obito, wyrzucano z podwórców fabryk.

Z góry padają w tłum zdania krótkie, wyrażające:

— Oplatała nas zdrada i sprzedajność. Rząd jest bezsilny: dalej bierze udział w krwawej rzezi, fabryki pozostawia fabrykantom, chlo-

pom nie daje ziemi... Czy mamy to znosić bez końca? W nas jest siła, wszystko możemy zrobić!

— I zrobimy... Ale wtedy dopiero, kiedy w swoje ręce weźmiemy władzę!

— Prawda, prawda! — Z setek, z tysięcy gardzieli wyrzyna się zgodny okrzyk. — Cała władza Radom! — Precz z ministrami-kapitalistami! Precz z socjalistami-zdrajcami!

Zapomnieli o głodzie, zapomnieli o swej własnej przejmującej niedoli — stali gotowi do walki, ofiarni i świadomi, nieubliżani w swym zdecydowaniu...

— Nadchodzą — słowa padają gwałtownie, jak ogień palące — nadchodzą ostatnie dni. Ważą się wasze losy, Rosja proletariacka przygotowuje się do walki... Czy wy, tkacze, jesteście gotowi?

— Jesteśmy zawsze gotowi...

— Węc pamiętajcie, że w najbliższej przyszłości trzeba nam będzie wytrwać na posterunku!

Na kolei — w parowozowni, po warsztatach, przy pompie — kręcili się jacyś naszeptowacze, zatrzymywali robotników, tłumaczyli im, że trzeba jak najprędzej zatrzymać ruch — dlatego, że w Pitrze i w Moskwie zamachowcy chcą odebrać władzę ludowi... Nie należy — szeptało — udzielać im pomocy, trzeba ich odciąć od wszystkich i wszystkich, niech będą sami, a wtedy obdają, ich dzielni junkrzy...

Robotnicy ze zdumieniem przyglądali się agitatorom, a potem szli do komitetu kolejowego i raportowali o wszystkim swoim przywódcom. Chciano wypłacać naszeptowaczy, ale ci znikli i nie dowiedziano się ani skąd się wzięli, ani kto ich nasyłał.

W dniach Października kolejarzy Iwanowo-Wozniesieńska na całym terenie rozległego węzła oddali wielkie usługi. Zawsze współdziałali z Radą Robotniczo-Zołnierską, mieli w niej swoich przedstawicieli i nie nie robili wbrew jej woli zawczasu wszystko uzgadniając.

Pracując bez wytchnienia naprawiali parowozy i wagony. Zestawiali pociągi specjalne i przewozili nimi zboże... W chwili najgorętszych walk przewoził do Moskwy nasze oddziały robotnicze spieszące z pomocą... Przedpaździernikowe wiece kolejarzy kończyły się tak samo jak u tkaczy — gotowością działania.

W mieście stał garnizonem 199 pułk rezerwy. Składał się z kompanii 11, 12 i 14, ale przeszkolona i gotowa była tylko 11. Dobrze i to: w razie czego jedna kompania też może sporo dokonać.

W koszarach była wilgoć, brud, zimno... — Żołnierze! Towarzysze! Możecie już wkrótce będziecie musieli ruszyć... Nikczemny i zgnity rząd nie chce, a zresztą nie może dać ludowi pracującemu tego wszystkiego, co mu się z prawa należy...

— Dawno już trzeba było — zawołał ktoś z pośród szarej masy.

— Precz ze zdrajcami...

W zimnym, ceglany budynku uderzały o mury groźne hasła, rozlegały się przekleństwa, nad zwarty tłum szarych płaszczy wznosiły się dumnie i trwałe słowa uroczystej przysięgi, świętej przysięgi pójścia na bój...

— Liczymy na wasze bagnety, towarzysze, lada dzień mogą być potrzebne — dla obrony władzy radzieckiej...

— Niech żyje władza Rad! — rzucił ktoś w zapadłej na chwilę ciszy.

Szary tłum zaczął wołać niepomahowanie, w jakimś zapomnianiu:

— Hura!... Hura!... Hura!...

— Niech żyje władza Rad! — zawołał ponownie ten sam głos.

Rozpętała się nowa burza okrzyków, entuzjazmu, palących słów przysięgi...

Żołnierze byli z nami...

Tak, w przeddzień wielkich dni, przygotowaliśmy robotników tkackich, kolejarzy, żołnierzy... Niebawem mieli wziąć udział w walce, ale nie tutaj, lecz w Moskwie, dokąd wysłani zostali na pomoc.

Z taką siłą nie mieliśmy zwyciężyć? Któż mógłby jej sprostać? Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że z nami będzie zwycięstwo...

A termin był coraz bliższy... Z niepokojem czekaliśmy na sygnał, na ostateczną wiadomość. Aż nadeszła.

Na 6 wieczór, 25-go wyznaczone było posiedzenie Rady. Nie pamiętam już jakie rozpatrywano sprawy — ale nastrój tego wieczoru był wyjątkowy. Dyskutowano jakoś wyjątkowo gorąco i zapamiętałem, zupełnie niezależnie od wagi zagadnień, pobudliwość była ogromna i uż chorobliwa wrażliwość. Raz po raz rozlegały się jadowite polemiki i repliki, mówcy wyłamywali się na ławach jak pęcherzyki na wódzie, gestykulowali przez chwilę i znikali. A na ich miejscu zaraz podnosili się nowi... I widać było wyraźnie, że wszystkie omawiane sprawy nie są istotą rzeczy, że służą tylko do wyładowania czegoś, co kipi gdzieś w głębi, czegoś najważniejszego, o czym wyłącznie chcieliby mówić, czego doczekać się nie mogą zebrani delegaci... Dziś przecież dwudziesty piąty. Może jutro z rana... a może jeszcze tej nocy nadejdzie... A może nawet już teraz, w tej właśnie chwili, tam grzmiały armaty, szczekały kulomioty, idą do natarcia kolumny robotników i leje się, leje obficie krew bratnia... Ach, żeby już jak najprędzej wiedzieć! Wiedzieć wreszcie — wszystkim byłoby już lepiej...

Trzy razy próbowałem połączyć się z Moskwą przez telefon — nic z tego. W końcu dało mi redakcję „Izwiestii”, usłyszałem niezapomniane słowa:

„Rząd tymczasowy obalony!”

Z trudem zachowałem przytomność. Wpadłem do sali, dałem znak — zapadła śmiertelna cisza. Wtedy, skandując każde słowo, rzuciłem w tłum delegatów:

— Towarzysze! Rząd tymczasowy został obalony!...

W mgnieniu oka sala oszalała. Sciskano sobie ręce, usłakiwano na ławki, niektórzy bili brata, inni tupali nogami, lub uderzali łaskami o pulpity i ściany rycząc z całych sił: „Towarzysze!... towarzysze!... towarzysze!...” Pewien porwany ślusarz chwycił ciężki stołek, zamachnął się i omal nie cisnął nim w tłum. Okrzyki, wołania, intonowane pieśni — wszystko zlało się w przeciągły, ogłuszający — zgiełk, huk, łoskot...

Ktoś zawołał:

— „Międzynarodówka!”

I nagle z powszechnego chaosu narodziły się, spotężniały i popłynęły dźwięki świętego hymnu... Śpiewaliśmy go przedtem, śpiewaliśmy i potem setki razy, ale nie pamiętam, by kiedykolwiek śpiew był taki jak tego dnia. Taka w nim była wewnętrzna, a teraz ujawniona moc, taki gorący, zapierający dech porwy i zapal, tak nieskalana, a głęboka wiara w każde słowo hymnu:

Wykłęty powstań, ludu ziemi,
Powstańcie, których dręczył głód!
Myśl nowa blaski promiennymi
Dziś wiedzie nas na bój, na trud.

Nie tylko śpiewaliśmy. Widzieliśmy przed sobą na jawie jak powstały szeregi robotnicze, jak idą, falując, na ostatni, śmiertelny bój.

Kiedy obejrzeć się wstecz — aż dech zapiera wspaniałość drogi, jaką otworzyli niezapomniane dni Października.

Tłum. Irena Tuwim

SERGIUSZ MICHAŁKOW

STALIN

Gdziekolwiek byśmy polecieci,
Gdziekolwiek poszli, popłynęli,
Gdziekolwiek miasta budowali —
Najdroższe imię
Zawsze z nami!

Kiedy o szczęściu pieśń śpiewasz,
Kiedy ci bije w twarz ulewa —
Wiedz, że nie sam brniesz trudną drogą:
Najdroższe imię
Zawsze z tobą!

Kiedy cię zrania w ciężkim boju,
Kiedy przed samą śmiercią stoisz —
Łzy prędko otrzyj. Ranę ściśnij.
Najdroższe imię
Miej na myśli.

Wśród gór, czy rzek, o każdej porze
Ten człowiek zawsze ci pomoże!

Gdy za odwagę w krwawych bitwach,
Orderem dzielność twą nagrodzą —
Wiedz, w przyjacielskich rąk uściskach
Poczujesz nagle rękę Wodza.

Tłumaczył Igor Sikirycki

ALEKSY SURKOW

PAŹDZIERNIK

By zbudzić w ludziach wszystkie ludzkie moce
Potrzeba było burzy Października.
Lenin na ramię dłoń położył nam jak ojciec,
W głąb oczu spojrzął wzrokiem, co przenika.

I nagle proste, jasne i przezrocze,
Ujrzyliśmy przed sobą czasy w dali.
Jak byśmy los nasz w jego oczach
I los ojczyzny naszej wyczytali.

I jakby z oczu ktoś zasłone zdarł nam,
I nowy wiek zabłysnął przez ciemności.
Wędrowca tak skroś lasu wilgłą czarność
Ocean wzywa w nowe dalekości.

Bezskrzydłym tak u ramion rosną skrzydła,
Gdy przestwór wzywa, aby w górę wlecieć.
I jawą stało się marzenie niedościgłe,
Co zaświtało poprzez mrok stuleci.

Tłumaczyła Irena Tuwim

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

PAŹDZIERNIK

Od salw październik chmurny tak daleko jaśniał,
Ze się widziało jeszcze niezrodzone miasta,
W których zamieszka z ludźmi braterstwo i miłość
A ręce ładujące gniew do karabinów,
Nadadzą kształt troskliwy wyzwolonym siłom
I staną się kolebką przyszłych wielkich czynów.

Ręce o palcach chudych jakby kielki ryżu
Rosnące w Chinach; ręce, które bruk Paryża
Rwą gniewnie — rewolucyjną klawiaturę;
Ręce skrócone w kakaowe kłaczce bure
Albo świecące w trzcinie cukru krwawą plamą —
Te ręce milionowe walczą o to samo.

Są bliskie naszym dłoniom, które cios odparły,
Wskrzyśły z ruin miasta, z twarzy smutek starły
Krzywdzonych ludzi... Dzisiaj żyta kłos lub jęczmień
Jak broń trzymają mocno, aby było piękniej,
Aby w mieszkaniach stały pełne chleba stoły
I w oknach grały drzewa z akordami pszczoły...

Te dłonie stroją niebo miast fabrycznych dymem
Tak pięknie, jakby dym ten tęczy nosił imię,
Zmieniają klimat, ustrój, także serca ludzi,
Zeby spokojnie z rana można dzieci budzić...
A one uśmiechnięte spojrzą w przyszłość świata
I jak żdźbło światu niosąc w dziobie gołąb wzlata.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

NAJSILNIEJSZA FALA

XIX Zjazd KPRZ przyniósł w końcowym przemówieniu Józefa Stalina podsumowanie politycznego doświadczenia siedmiu lat, które upłynęły od zakończenia II wojny światowej. Położenie krajów zmarszczonych Europy, agresja imperialistyczna w krajach azjatyckich, kolejne demaskacje naszych „rodzimych” agentów imperialistycznych sił zaboru i wojny — nade wszystko zaś uczestnictwo w światowym ruchu obrony pokoju nauczycieli — wielkiej prawdy naszych dni — prawdy o istnieniu dwu, niustannie ścierających się sił — obozu wojny, niewolnictwa, zagłady człowieka — i obozu pokoju, wolności, rozkwitu świata. Każda notatka o marshal-

książki Erenburga tkwi i w tym także, że ocena sytuacji międzynarodowej dana w przemówieniu Stalina, wskazuje, że pisarz w ogniu walki dostrzegł podstawowe linie ataku i obrony wroga, że słusznie ocenił sytuację i siły własnego obozu, że umiał wyciągnąć trafne wnioski z rozkazów wodzów. „Dziwiła fala” to w pełni zdany egzamin bolszewickiej oceny współczesności.

„Dawniej burżuazja pozwalała sobie na uprawianie liberalizmu, broń swobód burżuazyjny — demokrację — przez to stwarzała sobie popularność wśród ludu. Obecnie z liberalizmem nie pozostało ani śladu. Nie ma już tak zwanej „wolności jednostki” — prawa jednostki przysługujące są obecnie tylko tym, którzy posiadają kapitał, a wszyscy pozostali

prawo manifestacji politycznych dawno już według rządzącej burżuazji przestało wchodzić w skład „praw obywatela”. Doświadczenia Mado w czasie strajku górników mówią o tym najlepiej. Trudno też mówić o „prawach człowieka” w kraju rosnącego terroru policji i bojówek faszystowskich; w kraju, gdzie swoboda nauki wobec najbardziej cynicznych metod administracyjnego ucisku dawno stała się wydartym frazesem bez pokrycia. Historia dra Morillota, ośmi nie zgubionego przez prowokację polityczną, demaskuje sprawiedliwość „niezależnej” władzy sądowniczej burżuazyjnego państwa nie gorzej niż „amerykańska tragedia” Murzyna Dawida czy dzieje prowoka-

rowniczą siłą narodu. Nie ma poza tym nikogo, kto mógłby go podnieść” — mówił Stalin.

Do najcenniejszych partii książki Erenburga należy demaskacja narodowej zdrady burżuazji francuskiej. Erenburg już w „Upadku Paryża” potrafił wskazać, że klęska Francji datuje się od czasu, który na długo poprzedził zniszczenie jej siły obronnej przez hitlerowskie dywizje. Zdrada monarchijska, próba zduszenia Frontu Ludowego i kapitulacja przed faszystami, naganka na Związek Radziecki i oświadczenie manewry, mające wmówić francuskiej opinii publicznej rzekomą chęć porozumienia z ZSRR przy równoczesnej koncepcji poszczucia Hitlera na kraj socjalizmu — te fakty zadecydowały o zgubie Francji jeszcze przed uderzeniem 1940 r. „Burza” Erenburga, książka o czasach europejskiej walki z faszystami, zarysowała dzieje narodu francuskiego w czasie okupacji faszystowskiej — w czasie zdrady rządu Vichy i bohaterstwa Ruchu Oporu. Linia podziału, oddająca od narodu francuskiego kilkę kolaborantów, burżuazyjnych handlarzy wolności i godnością ojczyzny, nie zatarta się i w czasie ośmiu lat „wolności”. W „Burzy” o losach wielu bohaterów powieści — mieszkańców Paryża — decyduje gestapowiec major Schirke — w „Dziwiła fali” zastąpił go oficer amerykańskiego sztabu generalnego Neales; ale major Schirke przygotowywał remilitaryzację Niemiec w Związku Rezerwistów, kryptohitlerowskiej organizacji byłych „weteranów”, a Neales narzuca burżuazyjnemu rządowi francuskiemu zwolnienie bohaterów Ruchu Oporu ze stanowisk, na których przeciwstawiali się amerykańskiemu planowi zawładnięcia Francją. Francuscy politycy przeszli się w staraniach o poparcie Nealesa. Świećcie uchwycyły typ sprzedajnego „meza stanu”, Bedier — szara eminencja kół rządowych, opierająca swe stanowisko polityczne na ustępności wobec żądań amerykańskich, wiarą w zadowolenie mocodawców osłaniająca sobie trudny i przykre losy: „Czemu Neales chowa wszystkie świństwa dla mnie? Mógłby powiedzieć to samo Quil-leau albo Schumanowi. To oczywiście podnosi moje stanowisko: Bidault widzi, że Amerykanie mi ufają...” Amerykanie ufają obrotowemu ministrowi do czasu. Pożegnany gniew ludu Paryża przeciw organizatorom wojny, zwycięskie strajki, przyjęcie zgłodniałego Eisenhowerowi — wszystko to podrywa pozycję Bediera, ukazuje mu perspektywę odpoczynku po ministe-



rialnych trudach na nudnej posadce urzędniczej. W kącie idzie też Schirke, który zrobił swoje, a jego osoba niepotrzebnie drażni tylko francuską opinię publiczną. Amerykanie nie robią sobie zbyt wielu ceremonii ze swymi marionetkami w europejskich koloniach. Kukiełki tanio sprzedając przyszłość swojego kraju, łatwo idą na wszystkie ustępstwa.

O Mado, bohaterce ruchu oporu i działaczce komunistycznej, mówi w czasie strajku górników Nordu stary Andre: „Nazywano ją w Maquis France, dobre imię, ona dla mnie jest Francją...”. Francja są tylko ludzie, którzy widzą niebezpieczeństwo grożące krajowi, jego suwerenności, jego pomyślności gospodarczej, spokojnej przyszłości jego dzieci, honorowi wielkiego narodu. Słowa Thoreza, że Francuzi nie będą nigdy walczyć przeciw krajowi socjalizmu, stały się hasłem patriotyzmu dla rzeszy ludu francuskiego. „Gdy towarzysze Thorez lub towarzysze Togliatti oświadczyli, że ich narody nie będą walczyć przeciw narodowi Związku Radzieckiego, to jest to poparcie, przede wszystkim poparcie walczących o pokój robotników i chłopów Francji i Włoch, a następnie rów-

niez poparcie pokojowych dążeń Związku Radzieckiego.” — mówi Józef Stalin. Słowa prawdziwego patriotyzmu, słowa miłości dla kraju i troski o jego losy padają w książce tylko z ust ludzi, którzy zrozumieli groźbę niesioną światu przez imperializm. „Strach mnie ogarnia, Anno... Strach o Amerykę...” — mówi adwokat Clark; lęka się o Niemcy robotnik Erich, walczący o Francję Yvonne i robotnica Marie. Dziennikarz Sablon, niggdy „mieszanina anarchisty z liberałem minionego stulecia”, którego burżuazja „klika francuska” chciała uczynić agentem amerykańskiego wywiadu, po doświadczeniach pobytu w Związku Radzieckim, po doświadczeniach walki o pokój myśli w dniu demonstracji przeciw Eisenhowerowi: „Szczegółowo mówiąc niewiele orientuję się w polityce, nie podejmuję się powiedzieć, czy słusznie rozumują komuniści, ale teraz oni bronią Francji — i to nie ulega wątpliwości... Można się kłócić o zasady, ale kiedy idzie o Francję, kończą się wszelkie spory. Tutaj trzeba wytrwać do ostatka. Nie powtórzę się rok czterdziesty, to było omdlenie, niesłusznie wielu uważało je za zgon. Mamy teraz Verdun, za granicą tego zdaje się nie rozumieją; nie oddamy Francji”.

Przemiana Sablona jest elementem doniośle i niezmiernie ciekawie zarysowanej przez Erenburga sprawy, mianowicie — problemu ideowej ewolucji zachodnio — europejskiej inteligencji twórczej. Na przykładach losów ludzi o różnych specjalnościach, o różnych zainteresowaniach kreśli Erenburg wielki obraz będący odpowiedzią na pytanie Gorkiego: „Po czyjej jesteście stronie twórcy kultury?”. W ogniu walki coraz wyraźniej rozwija się zdłużenia neutralności intelektualistów, zdłużenia „trzeciej siły”, zdłużenia izolacji pracowni uczoności i artysty. Traci je amerykański profesor Adams, niegdyś lekąjący się zarcagować na haniebą nagonkę przeciw bojownikowi pokój prof. Dumasowi. Drogo do prawdziwej wielkiej sztuki odnajduje malarz Sembat w ślednoczeniu z walką i dążeniami swego narodu, w pracy nad obrazem przedstawiającym kobietę wiodącą manifestację. W „Dziwiła fali” bije nurt gorącej walki o kulturę narodów świata, o ocalenie jej przed szturmem dolarowego chamsztwa, o odrodzenie godności naukowców i artystów, których imperializm chce uczynić „lokajami ludzi bogatych”. Nurt głębokich dyskusji ideologicznych, wspaniałych gorących polemik z wszelkimi argumentami zakłamanej propagandy „obrońców zachodniej kultury”, wzbogaca intelektualną treść książki; wskazuje, jak dobra książka mądrego pisarza może być jednocześnie głęboko agitacyjną i mobilizującą, a jednak jak najdalej od łatwizny, sloganu, wytręty, zbanalizowanej argumentacji, zlej propagandy.

Książka Erenburga walczy i agituje nie tylko świetnymi partiami błyskotliwej polemiki politycznej; nie tylko zjadliwa i cięta satyra demaskująca moralną nicotę, wewnętrzna pustkę, duchowe chamsztwo bohaterów amerykańskiego stylu życia i ich wasalów; nie tylko wspaniałymi, mocnymi, wzruszającymi obrazami tych ludzi, którzy w każdym kraju podnoszą standard walki o sprawę wolności, pokoju, postępu i szczęścia własnego narodu. Jednym z najmocniejszych elementów, rysujących pozytywnie ideologiczny i moralny, przeciwstawiony groteskowemu światu atlantydy, są partie powieści poświęcone ludziom radzieckim. Krytyka radziecka słusznie zwraca uwagę, że czołowe znaczenie ludzi radzieckich w



lowskim rajem demontowanego przemysłu krajów Europy, o stanowisku burżuazji francuskiej wobec planów remilitaryzacji Niemiec, o odpowiedzi włoskich obszarów na głód milionowych mas chłopskich, o machinacjach polityków irańskich w targach o bogactwo narodu, wreszcie droga hańby, jaką poszli nasi emigranci na służbę agentów wrogości Polsce świata — to wszystko odkrywa co dzień oblicze burżuazji całego świata, ukazuje jej sprzedajny, antynarodowy, wrogi ludzkości charakter. Ofiary robotników francuskich i włoskich chłopów w walce o wyzwolenie kraju i o uchronienie go od nędzy i ruiny, postawa mas ludowych Niemiec Zachodnich wobec imperialistycznej okupacji, przebieg walki wyzwoleniejszej ludu Chin, Korei, Wietnamu, Malajów, rosnąca siła i pomyślność krajów pokoju i socjalizmu — a wśród nich naszego kraju — oto są fakty mówiące nam gdzie tkwią siły walki o jasną przyszłość narodów świata.

Towarzysz Stalin jasno określił najistotniejsze zarysy dzisiejszego układu sił. Choraży światowej walki o pokój i przyszłość ludzkości stwierdził, że dziś, gdy burżuazja „stała się inna, poważnie się zmieniła, stała się bardziej reakcyjna, straciła więź z ludem i przez to osłabła”, rośnie potęga i wola walki demokratycznych i rewolucyjnych partii niewywołanych spod panowania kapitału krajów świata, rośnie ich najcięższy związek z ludem, z jego potrzebami i dążeniami, z najlepszą tradycją przeszłości i z najgorętszym marzeniem o przyszłości każdego narodu.

Wielki temat światowego frontu walki o pokój, demokrację, wyzwolenie narodów z imperialistycznego jarzma znalazł dotychczas już swego wielkiego piewca w wybitnym pisarzu radzieckim Ili Erenburgu. Nowa powieść autora „Upadku Paryża” i „Burzy” obrazuje wypadki polityczne lat 1948 — 51, rysuje potężny obraz współczesnego świata targanego walką z podlegającymi do nowej wojny, w obronie człowieka i jego przyszłości. Książka Erenburga powstała w latach 1950 — 51, współcześnie niemal z opisywanymi w niej wypadkami. Pisarz nie czekał na „ucukrowanie” się tematu, nie oczekiwał koniecznej pomyślności według tradycyjnej poetyki przerwy między zaobserwowaniem faktu a jego artystycznym wykorzystaniem i przetworzeniem. Dowiódł tym, że pisarz zbrojny w jasną myśl marksistowską — leninowską, tkwiący w samym centrum walki i związany z nią wszystkimi myślami, stworzyć może nie tylko ogólnikowy i naskórkowy reportaż czy tom szkiców publicystycznych, lecz właśnie głęboko przemysłany i zindywidualizowany, zdumiewający bogactwem i szerokością horyzontów obraz artystyczny, w którym obażona została ludzka treść czynów i przemysłów dzieł bohaterów, może napisać wielką panoramę historii naszego dnia dzisiejszego.

„Dziwiła fala” Ili Erenburga jest triumfem realizmu socjalistycznego nie tylko jako piękne i dojrzałe dzieło artystyczne, ukazujące nam wszechstronnie prawdę o człowieku współczesności, ale i jako doskonały sprawdzian politycznej operatywności walczącej sztuki radzieckiej, umiejacej bezwzględnie, mądrze i celnie, z nieubłaganą przenikliwością pasją miłości i nienawiści reagować na najważniejsze sprawy współczesności, bić wroga na wszelkich odcinkach walki, odszukiwać i wspomagać sojuszników, bronić wszystkiego, co cenne i obrony godne. Triumf

stali obywateli uważani są za surowy materiał ludzki, zdający jedynie do wyszku. Zdeptana została zasada równości praw ludzi i narodów, zastąpiono ją zasadą pełni praw wyzyskującej mniejszości i pozbawienia wszelkich praw wyzyskiwanej większości obywateli — mówił J. Stalin.

Nie tylko losy młodego artysty murzyńskiego Dawida, zagrożonego krzesłem elektrycznym za natrętne amory białej damy, ukazują, jak sponiewierano człowieka w „nowym świecie” demokracji po amerykańsku. Amerykański styl życia ilustruje lepiej jeszcze naganka na adwokata Clarka, który ośmiela się bronić „czarnych” i nie wierzy w zaborcze plany „czerwonych”, albo losy pocziwego skądinąd, choć gupawego krawca, zmuszonego szantażem do wysługiwania się policji. W zmarszczkowanej Francji prawo strajków i

cji FBI w stosunku do obywatela radzieckiego Minajewa. Nie ma istotnej różnicy między metodami dławienia wolności w państwach imperialistycznych, choćby różne były tradycje wolnościowe ich burżuazji, choćby różny był teraz stopień faszystacji ich życia społecznego i różny układ sił społecznych.

„Dawniej burżuazja uchodziła za głowę narodu, broniła praw i niepodległości narodu, stawiając je „ponad wszystko”. Obecnie ani śladu nie zostało po „zasadzie narodowej”. Obecnie burżuazja sprząda za dolary prawa i niepodległość narodu. Stander niepodległości narodowej i suwerenności narodowej wyrzucony został za burte. Nie ulega wątpliwości, że stander ten wypadnie podnieść nam, przedstawicielom partii komunistycznych i demokratycznych i ponieść go na przód, jeżeli chcecie się stać kie-

MICHAŁ LEŚNIAK

DWA ŚWIATY — DWIE DYPLOMACJE

WYRAZ „dyplomacja”, nawet w potocznej mowie, używany był jako symbol, stanowiący antytezę normalnych ludzkich stosunków, opartych na dobrej wierze, szczerości i zaufaniu. Język dyplomatyczny uchodził za coś przeciwstawnego jasnemu i szczeremu wypowiedziom. Pomimo to uznawany był za „wyższą”, specjalnie wyszukaną i wyrafinowaną formę wyrażania swych myśli i poglądów. Znanie powiedzenie Talleyranda, że „mowa służy ukrywaniu myśli” — cytowane było jako cyniczny paradoks, lecz jako wyraz „mądrości politycznej”.

Legenda te pierzchy z chwilą zjawienia się na międzynarodowej arenie, dyplomacji radzieckiej.

Rzeczywiście. Gdy czytamy lub słyszymy przemówienia Mołotowa, Wyszynskiego lub któregośkolwiek z dyplomatycznych przedstawicieli ZSRR, od razu czuje się, że przemawiają nowym językiem ludzie nowego świata, pierwszego w świecie państwa socjalistycznego, państwa robotników i chłopów.

Jakże wielki kontrast z tymi przemówieniami stanowią wypowiedzi dyplomatów imperialistycznych — epigonów starej szkoły dyplomacji burżuazyjnej.

Aby móc odcyfrować ich język, pojąć ich mentalność i ustalić ich rodowód — dobrze jest sięgnąć do przeszłości i poznać sylwetkę i działalność jednego z twórców tej szkoły i klasycznego jej przedstawiciela — Talleyranda.

Błyskotliwa i niebywała, nawet jak na ówczesne czasy karierę rozpoczął Talleyrand w okresie, kiedy burżuazja rewolucja francuska, obalając odwieczną feudalną monarchię, zapoczątkowała nowy okres w historii.

Osoba i działalność księcia Talleyranda de Perigord — ministra spraw zagranicznych Francji w okresie Dyktatoratu, Cesarstwa i Restauracji — była przedmiotem wielu prac naukowych, pseudonaukowych i literackich. Jest rzeczą charakterystyczną, iż niezależnie od oceny jego sylwetki moralnej i intencji oraz metod jego działania, autorzy tych prac — czy będzie to jemu współczesny Stendhal, czy nam współ-

cześni, Francuz — kollaboracjonista Fabre-Luce i Amerykanka Bowmann-Dodd — zgodnie uważają Talleyranda za niedościgniony wzór dyplomaty nowoczesnego i popularyzują kult nie tylko jego osoby, lecz i jego metod dyplomatycznych. Pierwszą odmienną ocenę Talleyranda, dał Marks i Engels (tomy I, V i VII „Dzieli”). Ocena ta, wnikiwa i trafna, była jednak z natury rzeczy fragmentaryczna, gdyż obaj genialni autorzy nie rozporządzali materiałami, które są nam dziś dostępne. Dopiero uczeni radzieccy, na podstawie ujawnionych obecnie źródeł, pokusili się o pełną i syntetyczną ocenę osoby i działalności tego „ojca burżuazyjnej dyplomacji”.

Wśród prac tych wyróżnia się kapitalne dzieło znanego historyka radzieckiego, Eugeniusza Tarle. Tarle wnikiwie analizuje motywy i pobudki działania księcia Benewentu i odrzucając wszystkie narosłe z biegiem lat legendy, daje pełną i głęboką ocenę Talleyranda, jako człowieka i dyplomaty. Czytając to dzieło, rozumiemy, dlaczego polityk uznawany nawet przez współczesnych, za uosobienie przewrotności i przekupstwa, minister, który sprzedawał po kolei wszystkich, nawet tych, którzy go kupowali, człowiek kompletnie amoralny, zwany już nie kłamcą, ale „ojcem kłamstwa” — mógł przez całe swe życie nie tylko kierować z powodzeniem polityką zagraniczną wielkiego państwa w najburzliwszym jego okresie, lecz jest dotąd w świecie kapitalistycznym uważany za twórcę szkoły nowoczesnej dyplomacji i za wzór godny naśladowania. Tarle wyjaśnia sekret tego powodzenia, polegający na tym, że Talleyrand od razu i bezbłędnie przewidywał nieuniknioną polityczną zagładę swojej własnej klasy społecznej i całkowity triumf burżuazji oraz natchnieniem wyciągał z tego konsekwencje. Ten wykwintny arystokrata-sybaryta, ten bonvivon, zdradzający po kolei wszystkich i wszystkich, nie zdradził jednak nigdy burżuazji, choć klasa ta, była mu oświeceniście obca i antypatyczna.

Tarle powiada: „Talleyrand był jednak człowiekiem nowego, burżuazyjnego okresu, nie tylko z tego względu, że zdradzając przez całe swe życie wszystkie rządy służył wytrwale burżuazji, i współdziałał w umacnianiu jej wszelkich osiągnięć, jakie uzyskiwała podczas Rewolu-

cji i jakie starała się zachować przy Napoleonie i po jego upadku.

Talleyrand wiedział również, że nastąpiły czasy, w których zarówno w kraju jak i w sąsiedztwie należało się bardziej liczyć z bankierem niż z faworytą króla, bardziej z obligacjami giełdowymi niż z przejętymi intymnymi listkami, z pojedynkami zaś o tyle tylko o ile walka toczy się przy pomocy taryf celnych, a nie na rapiery”.

Zestawmy jego politykę z polityką dzisiejszych, dolarowych i neohitlerowskich dyplomatów. Zasady, chwytliwy, metody — te same, choć jakie inne czasy.

Talleyrand, torując drogę zwycięskiej wówczas burżuazji, spełniał bądź co bądź (choć bezwiednie) postępową rolę. Pomagał w likwidacji resztek ustroju monarchiczno-feudalnego. Jego obecni epigoni nie odziedziczyli jednak jego bystrości politycznej w ocenie rzeczywistości i umiejętności przewidywania. Po stu latach tkwią z uporem na tych samych posterunkach, nie rozumiejąc, że okres hegemonii burżuazji skończył się bezpowrotnie, że nowe siły wkroczyły na arenę świata i zmieniają jego oblicze, a procesu tego nie już nie zdola zatrzymać.

Toteż cała taktyka dzisiejszej dyplomacji dolarowej, to tak zwane „zabiegi opóźniające”, to wpychanie kijów w sprzysy tęczącego się koła historii.

W kapitalnym, zbiorowym dziele historyków radzieckich, pod tytułem „Historia dyplomacji”, Tarle w tomie III wymienia niektóre z najbardziej charakterystycznych, a tak dobrze nam znanych z ostatnich lat chwytów. Są to:

agresja pokryta motywami obrony,

agresja pokryta motywami ideowości i bezinteresowności, „obrona” małych państw, zawieranie traktatów przyjaźni dla osiągnięcia czujności przeciwnika, wykorzystywanie pacyfistycznej propagandy w celu dezorientacji przeciwnika,

polityka łgarstw, oszczerstw i szantażu.

Takimi pojmowaniu roli i zadań dyplomacji przeciwstawiali się od pierwszych chwil twórcy i założyciele Związku Radzieckiego,

Michał Leśniak

(ukończenie na str. 7)

ZBIGNIEW ZALEWSKI

NAD BRZEGIEM WISŁY

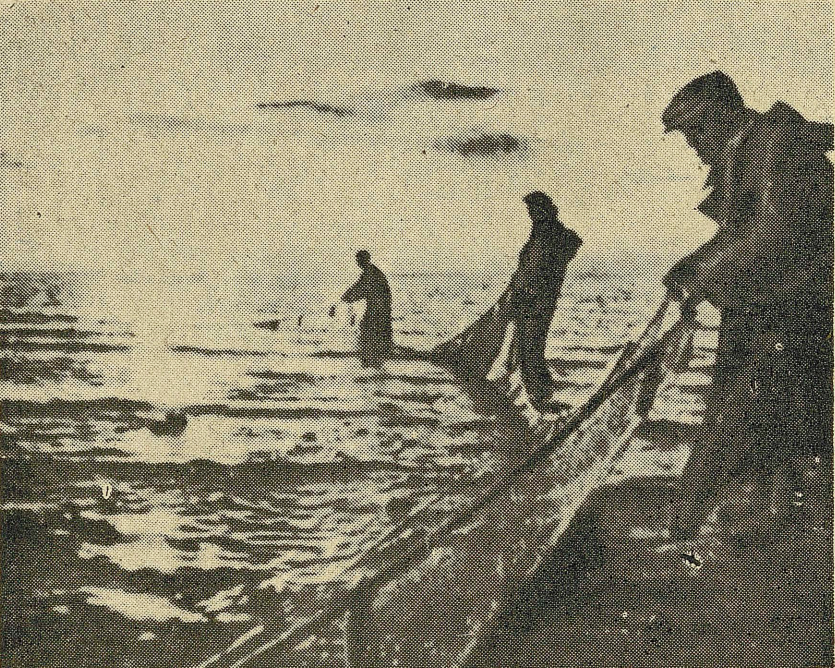
KIEDY na wysokości Parchatki przesiadałem się ze statku do łodzi, moim jeszcze obciążeniem były Pulawy. Tętno w sadach, czerwieniących owocem i liśćmi. Dwugarbna wyżyna zsuwała się od Puław do Parchatki. Szumiała ostrzej przy brzegu fala. Szumiały prastare sokory. Brzeg zbliżał się poszarpany językami wydm i wgłębień. Otulała go wiklina, ta pierwsza pomocnica człowieka, kiedy mieszka nad rzeką i drzy przed zaborem ślepego żywiciu.

Na brzegu grupa chłopów zanurzonych po kolana w lepkiej zaprawie. Szuflami podrzucają na wał żwir, zmieszany z piaskiem i zaprawiony cementem. Trochę dalej młodzieńcy rozbijają glazy, furmanki, zaprzężone w zgrabne koniki, rozwożą usypiska kamieni na oznaczone punkty wału.

Nagle pociemniało, zaczął padać deszcz. Zerwał się wicher. Już nie widziałem kamieniarzy ani ruchliwych koników. Stukot młotów zagłuszyła fala. Ludzi przesłonił deszcz.

— Nie bój się pan! — huknął jakiś głos i tuż obok wynurzyła się głowa starego chłopca. Deszcz zmywał porządki z twarzy. Chłop mruczał czyś uśmiechając się.

— To nie straszne. Deszcz nas nie zgoni — odwrócił się teraz w stronę Wisły — i ona już nas nie zgoni.



Jeszcze milczałem zaskoczony „burzą”, jak to określiłem w myślach i opiekunką postawą chłopca, który przewidywał u wycieczkowiczów wstrząs i zdumienie. Bo też od Wisły, gdzie dopiero co m. zna było jeszcze liczyć fale, była teraz piana i biała mgła, tyle wszystkiego.

Stary chłop nazywa się Franciszek Borowiec. Nocowałem w jego chacie. Najbardziej to wysunięta nad brzeg zagroda. Ale choć noc, choć Wisła tuż, jakby powódź podchodziła tuż, tuż, teraz siedzę przy stole, od komina gospodyni podaje już trzecie danie: kluseczki z powidłami śliwkowymi i herbatę z cukru ile chcesz. Stary Borowiec zapala papierosa, kluseczki mu stygną.

— Pójdźcie zaraz do okna — mówi żona. Stary rzeczywiście wstaje i mnie wyciąga z za stołu. W ciemnościach dwa światła.

— Kazimierz i Bochoćnica — mówi — Mają już elektrykę. Zastanawiam się. Słynny Kazimierz nie miał przed wojną światła elektrycznego? A nie miał, ma go dopiero od dwóch lat. Bochoćnica od roku.

Stary od okna nie wraca. — Tyle przelewa się wody, a w Puławach, Kazimierzu i Bochoćnicy prąd ładowy, z Lublina. Ale my jej przykroćmy cugłów — pięciom wyraża ciemnościom za oknem, domyślam się, Wiśle. — Jeszcze dwa lata temu zabrała nam 11 hektarów ziemi. A teraz mamy już służę i kończymy tysiąc pięćsetny metr wału. Cała Parchatka będzie bezpieczna.

Żywny ten stary. Przypomina mi inżyniera nad mapą i latarnika nad morzem. Co wieczór staje w oknie, jak na posterunku latarnik nadwiślański. Co wczoraj na te ciemności, wykrojonych futryna okna, suwa ręką jak po najbardziej szczegółowej mapie. Teraz właśnie wskazał służę.

Tylko powiadają starzy gospodarze, że jak będzie wielki spadek deszczów, służa nie pochłonie wszystkich wody. Sam gadałem inżynierowi, że 65 cm. średnicy to mało. Na metr by się przydało. Ano zobaczmy. Wielkie oberwanie chmur pamiętam przed ośmiu laty.

Teraz wskazał pewnie na szosę, bo nowy zaczął się watek.

Do cukrowni możnaby zwozić buraki kryptami a tak, jedź do kolei a droga daleka i czasu tyle. W Bochoćnicy tyton uprawiają i chłop się myśli, żeby tak węgiel ze Śląska nadjechał barkami do suszarni, drzewo od gór, maszyny.

Żeby uregulować naszą Wisłę, to i wały by nie były potrzebne a tyle przy nich zachodu.

Słucham starego i jak w półśnie, w szumie Wisły zabrzęczały mi upręże, zadudniły furmanki, spietrzone burakami. Omotani w burki pędzali chłopci małe a zżawie koniki ostrym krzykiem: Wio! Wio! — Poczułem, że kłaja mi się powie-

ki. Poszedłem spać. Na stole zostawiłem „Trybunę Ludu” z artykułem o wielkim planie regulacji Wisły. Nazajutrz stary Borowiec, wyprawiając mnie do Bochoćnicy, weknał mi w rękę gazetę.

— Czytałem wprzódzi. Czytałem. Tu koło nas stanie elektrownia!

O Bochoćnicę ledwie zawadziliśmy. Borowiec tyle mi bowiem naopowiadał o kapryśnej pogodzie nad Wisłą, że słoneczny poranek zmienił mój plan! Chciałem ujrzyć Kazimierz w pełnej krasie. Więc przez Bochoćnicę jak najspieszniej. Krótka a dziwna rozmowa z soltysiem ostrzegła wprawdzie, zatrzymaj się, okop na dłużę. Ale nie posłuchałem ostrzeżenia. Nad głębokim wąwozem bochoćnickim wznosi się baszta kazimierzowska. Legenda głosi, że ma ona podziemne połączenie z basztami i śpiżniami w samym Kazimierzu. Powędrowałem szosą, w przyzwyczajeniu odległości od Wisły, przy pogodzie, pośród wzgórz, pokrytych akacją i płonących czerwienią jarzebin. Nie zabrakło w tym pejzażu i złota, jakim rozjaśniły drogę rozłożyste klony. Na zboczach szumiły sokory, dodając brzegowi Wisły tajemniczy wiek.

Stałem wreszcie nad Kazimierzem. Powyżej ciągnęły się stare spichrz, potężne ociosy o gotyckiej stromości dachów. Było ich ongiś 24. Z ruin odremontowano część, służą teraz jako hotele turystyczne.

nie regulacji Wisły! A tu nad brzegiem Wisły już drugi raz mnie uprzedzają.

W jednej tylko Bochoćnicy...

Widok był taki. Pogłębiarka sapła pod pełną parą. Wodnik wykrzykiwał rozkazy, a chłopci przesuwali się po obu brzościach jak na szachownicy.

Na brzegu stromym, piętrzącym się górą kamieni o barwie piasku i wapna łomotały młoty żelazne. Pośród kamieniarzy kręcił się majster Kazimierz Doraczyński. Kolej na niego.

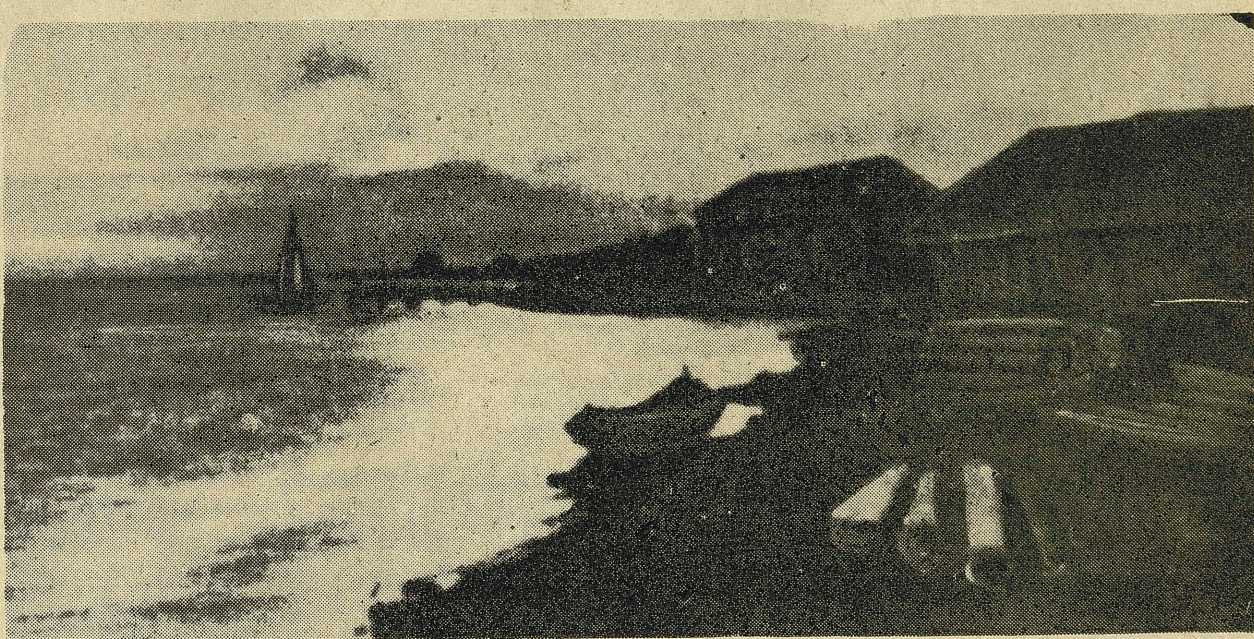
— Kamienia to mamy chyba dla całej Polski. A kamień to dobry. Z niego przecież pobudował Kazimierz Wielki baszty i spichrze i jeszcze stoją, sami widzą. Wiśla wtedy musiała być głęboka, szedł kamień w górę i w dół rzeki, o szedł. Gdyby można go teraz pchać wodą, toby tu dopiero zadudniło od roboty. Bo w naszych wsiach ziemia cud: mady, ale ludzi jak szarańczę.

— W kwietniu i w maju zabrał jeszcze od nas 120 m kamienia dla regulacji Wisły koło Warszawy, ale potem woda opadła. I musieli kamień pociągnąć. A stacja w Puławach. Dowodził trzeba samochodami. To drogo kosztuje. Biorą coś 60 zł za tonę, a Wisłą kosztowałaby tona 3 zł... — Zapory wodnej nam trzeba, zapory...

Tym razem mogłem agitować. Kamieniarze zarzucili młoty. Wyczytałem artykuł od deski do deski. Majster Doraczyński przybił go ręką, jak to się czyni w miasteczkach przy umowie kupna i sprzedaży i zakończył: nie mówili? Słyszeliście. Naszym kamieniem ocmbrujemy Wisłę. Każde dziecko w Polsce będzie o nas wiedziało.

Nie pierwszy to raz tutaj nad Wisłą posyłałem nutkę prowincjonalnego samochwalstwa. Już w rozmowie z Borowcem uderzyła mnie ta ważność miejscowego rejonu. Teraz majster Doraczyński... że każde dziecko w Polsce...

Próbowałem w ciągu całej podróży zebrać odpowiedzi na to pytanie. Pierwsza, jaka mi się nasunęła, to rola samej Wisły. Tędy przeciekały najkrócej i najwcześniej wszelkie informacje. Tędy dla chłopca filisaka i wędrowca za pracą w rozmowach pisała się gazeta krajowa. Tutaj na głównym i wartkim szlaku słyszał o Kielecczynie, o Lubelskiem, o Podkarpaciu i Śląsku, o Warszawie, o Pomorzu, o Gdańsku i Żuławach. Tutaj można było wiedzieć o kraju, stąd chyba ten ton na miarę nie powiatową i nie wojewódzką nawet. A z drugiej strony patriotyzm miejscowy i jak ta wezbrana Wisła — pycha niekie-



zana. Dwa dni później czytałem wypracowania uczennic liceum w Kazimierzu (10 klasa) „Uregulowanie Wisły przyniesie wielkie korzyści dla naszego powiatu, który ponosi największe straty wzdłuż Wisły od Dębina do Józefowa”.

„Mamy jedną kolej przez Puławę i dwa mosty. Regulacja Wisły rozwinię komunikację na Wiśle i poprzez rzekę powiąże z naszym powiatem inne w gospodarczej wymianie. Komunikacja rozwinię przemysł. A mamy kamieniołomy i wapienie, mamy zaplecze rolne dla fabryk przetwórczych”.

Nie tak bardzo przesadził majster Doraczyński. Młode pokolenie w szkołach marzy o sławie swojego powiatu.

„Kazimierz kiedyś był ważnym portem, zapory wodne i elektrownie znów uczynią z niego miasto duże, Kazimierz Polski Ludowej”.

Z majstrem Doraczyńskim zgadzałem się o Bochoćnicy. Zna ją dobrze. 13 km od Puław, 4 km od Kazimierza. Ziemia lessowa, jak tu wszędzie. Ale na tej ziemi przed wojną pięć osób siedziało na półtora hektarze. Antoni Szymczuk miał na ten przykład 80 arów. Chciał dokupić, ale z czego? Więc sprzedał krowę i konia. Pluta miał 1,20 ha, sprzedał konia, krowę, świnie i owce a nawet plug i wóz, aby wykupić od dworu 2 morgi. I dorobili się kompletnej ruiny, bo co można bez obronika, siły pociągowej i narzędzi?

W tej Bochoćnicy to nawet ogień pożyczano sobie z chałupy do chałupy.

JAN KOPROWSKI

BALLADA O LENINIE

I.

W Sybirsku wiosna. Zieleni się listowie,
Nurt Wołgi leniwy i senny.
Przyjacielu z tamtych lat —
opowiedz
o życiu nienadaremny.

Brzegami w górę Wołgi — holownicy
obdarci, nędzni, bosci.
Ciągna statki ładowe. Milczą.
Słowa u nich już nie uprosisz.

Na ich plecach spalone w słońcu
sypia się carskie batogi.
Szumi Wołga. Głodno. Gorąco.
Ech, rzucić się w głębinę Wołgi...

II.

Posypały się lata młodości.
Potoczyły się fale Wołgi.
Illiczowi nikt nie mościł
ciemniejszej drogi.

W kieszeni wytartej jesienki
plik broszur i gazet.
W pólach wiatr się ostry błakał
jak w rozwiniętym sztandarze.

Otwierały się dalekie krajobrazy,
wiatr się szumiąc wśród drzew wałęsał.
I wszędzie i zawsze razem:
słowa Marksa, słowa Engelsa.

III.

Ludu roboczy! Proletariusze!
Do walki pod wodzą Lenina!
Stary ład łamiąc i krusząc
rewolucja skrzydła rozpina.

Groźnie Wołga bije w brzegi
bryzgiem białej kipiącej piany.
Patrzcie żywi, wstańcie polegli —
Rosja miażdży krwawych tyranów.

Wstaje słońce jasne nad Moskwą,
nad Syberią, Wołgą, Sybirskiem
Sterujemy w przyszłość — prosto
niepodległe ludy rosyjskie.

A Lenin uśmiechnięty, prosty
z plikiem gazet w szarej jesienice,
idzie ulicami Moskwy
przed siebie — w słońce!

py. Bielizny poza czterema gospodarzami nikt tam nie nosił a starych, młodych i dzieci było z 1200. Na koniec hitlerowska artyleria zrównała z ziemią 100 zagrod.

Więc domy, które widziałem, więc ta duża wieś odnowa wybudowana? A co wy myśleli — zaperzył się Doraczyński — wszystko od nowa! W 45 r. jak się front zatrzymał na Wiśle, mówił do nas radziecki oficer: „Nie tuż. Placchoje wremia przosło! U nas bolszje zawody strojatsia w odin god. Fridło! i wam szczastilwoje wremia. My wam pomożem stroit nowuju żizn”.

No i zaczęło się. Na zachód wyjechało z 80 osób. Około 30 procent chłopów pracuje w przetwórnicy Baciuli w Puławach, w przetwórnicy owocowych w Kazimierzu i Zagłobie, w fabryce w Poniatowej, w cukrowniach w Opolu i Garlewie, w Zarządzie Wodnym, w gminnej spółdzielni, na wale, w kamieniołomie. Drugie tyle dziś ma 3 — 5 ha a o połowę mniej gospodarzy siedzi na hektarze. Inaczej się też gospodaruje. Dawniej dobra pańskie obejmowały Celejów, Bochoćnicę, Wierchowin, Klementowice.

Tu czynię przerwę we wspomnieniach majstra Doraczyńskiego, aby dodać to, co wyczytałem w papierach, troskliwie przechowywanych w Celejowskiej Gminie. Kiedy Sienkiewicz pisał „Rodzinę Polanieckich” dziedzice Klementowice stawiają 3 młyny na złościu pszenicę, aby sła do Warszawy i Gdańska. W 1889 r. na folwarku uprawiano już pszenicę i grykę, już rzepak i buraki cukrowe a u chłopów, jak się zaklina Doraczyński, do wyzwolenia nikt na tych madach nie wyszedł poza żyto i kartofle.

Dopiero po wojnie Bochoćnica stała na kontraktacji tytoniu, rzepaku, buraków, fasoli, lnu i konopi. Dorobili się elektryczności i GOM mają ładny: 17 siewników zbożowych, cztery młocarnie, dwie żniwiarki, trzy kopaczki i snopowiązalki.

Zabił mi majster nowego klina. Cóż więc z tą Bochoćnicą, jak tu mawiają, „względem” Wisły? Kiedy tam wpadłem i wprost na dom soltysa, wyrósł jak spod ziemi jego synek. Domy stały wysoko na usypiskach skał, widok niezwykły, na co malec, niepytany jeszcze, sam dał wyjaśnienie.

— Jak woda zaleje, to tato łódką podpływa i na siedząco zrywa jabłko i śliwy. A wałów nie wybudowano u nas, bo gospodarze nie chcą się zgodzić na taki wał, jaki Rada ma w projekcie.

— A, co ty, tam wiesz — z domu wyrzuciła głowa soltysa — co ty wiesz!

A co wiedział soltys? Inżynierowie chcieli na razie zbudować wał od Parchatki do połowy Bochoćnicy. Ale przez Bochoćnicę przepływa Kamienna, jeśli więc — rozumował soltys — nie przeciągnie się wału do samego Kazimierza, wylew Wisły i Kamiennej zatrzyma się w zatoce wału. Wał my chcemy do samego Kazimierza i służę na Kamiennę, inaczey interesu nie ma nasza gromada...

— A czego chcą inżynierowie?

— Na razie chcą ochronić Parchatkę i część naszej Bochoćnicy, także Wochotnicę, przedmieście Puław, także stamtąd się ciągną wały.

Wyciągnąłem gazetę, ale soltys nerwowo zatrząsał rękami. — Wiem, wiem, dzisiaj mamy zebranie, ale jak plan jest, to my chcemy do Kazimierza.

Z tym zostałem.

Po raz drugi Bochoćnica wypłynęła w rozmowie ze starym rybakim, Wojtalikiem. Od brzegu odbijały pierwsze łodzie, osnute srebrzystą koronką sieci. Pobiegłem w dół i po drodze natknąłem się na Wojtalika, niósł sieci, na jego plecach przgarbionych olbrzymi kosk kołysał się jak łódka.

Kosk przetransportowałem na moje plecy i tak się zaczęła nasza rozmowa.

— Rybaków w Kazimierzu coraz mniej. Młodzi, he, he, pomknęli na morze, a wielu poszło też do miast uczyć się i pracować. Ale Kazimierz bez rybaków? Co było to było? Powiadają, że spółdzielnia „Sandacz” ma pono werbować młodych i kształcić na rybaków. To mi się podoba.

Tylko z naszą Wisłą gorzej, z każdym rokiem mniej ryb niesie, wszystko przez te mielizny. Trzeba wy-

jeżdżać aż 7 km za Puławę w dół rzeki. Jak na wielkie połowy a są roki, że całego terminu dwa miesiące.

Nie słyszał jeszcze Wojtalik o Pięciolotnim Planie i regulacji Wisły, ale kiedyś plan opowiedział, bo „czytania pochwylić nie może”, stary rybak wpatrzył się w rzekę, aż pod Janowiem na drugim brzegu.

— Tysiąc tonowe barki tu pojdą? To mi się podoba. Wiśla będzie głęboka, ryba pociągnie. A pewnie też hodowlę zaprowadzą?

Nie wiem dlaczego, zwierzyłem się Wojtalikowi z rozmowy z soltysiem bochoćnickim. Jak wyrozumieć to uparte: my chcemy wał do Kazimierza?

Stary rybak popykał fajeczkę i tak mi odpowiedział.

Daleko stąd pod Annopolem jest wieś Sieciechów. Teraz tam spółdzielnia produkcyjna. W 49 r. postanowili chłopcy skończyć z wylewami Wisły. Mądrze postanowili. Zaprosiła gromada cały powiat krańców do pomocy, 17 gmin. I udało się. Bo też robota była ponad siły samego Sieciechowa. Wiśla wyzwała taki lej, że w tę gardziel trzeba było wysypać 62 tysiące metrów ziemi. Przyjeżdżali chłopcy z drugiego końca powiatu. Tysiące ludzi i tysiące koni. Wykonali do zimy. Ale w tej robocie zobaczyli drugą, jeszcze większą, nie na 2 a na 8 km. Taki wał uchroniłby 1200 ha najżyźniejszej ziemi. I w 50 r. wyciągnęli te 8 km. Uspalił nie 60 a 300 tysięcy m ziemi. Według planów miał ci ten wał budowany być dopiero za trzy lata i stanać w 56 r. To mi się podoba!

— A co myślicie o Bochoćnicy?

— Chcą wału do Kazimierza? Opo-

wiedziecie im o Sieciechowiel!

Znów rozległy widok, choć pogodę psuje. Lepsza widoczność po stronie Kazimierza, gorsza na Wiśle. A będzie — myślę — jeszcze gorsza. W dole na rynku malują pośpieszenie bezcki i ustawiają w szeregi, suche ładują na samochody. Od rzeki zabrzmią syrena okrętowa.

Trzy dni temu nie pojąłbym znaczenia sygnału, teraz wiedziałem — statek osiadł na mieliznie.

Pognałem w dół. Minałem malarską, młoczącą się z płótnem na wietrze, naiwny czekał na słońce.

— Czy nie słyszysz pan wśród tych drzew nawoływania giermków i sokoliników?

— Stanałem zdumiony. — Słyszę, proszę pana, głos syreny okrętowej!

Pod basztą omotał mnie silny wiatr i pokloniłem się mimo woli ruinom Zamku i Wiśle, którą zabzuwała powoli mgła. Ale mgłę przesłaniał raz po raz dźwięk syreny.

Na dole minąłem inżyniera-architekta, mojego z hotelu sąsiada.

— 60000 metrów sześciennych!

— Co?

— Chciał pan wiedzieć... Od 47 r. wykonaliśmy 60 tys. m. Odrasturujemy wszystkie zabytki...

Chciałem wiedzieć, ale teraz Wiśla dawała sygnały. Biegłem. Koło spichlerza, leżącego najbliżej rzeki, robotnicy ładowali pośpiesznie na platformy wiklinowe obreże i kosze. Samochody z trudem rwały muliste wybrzeże, usiłując wdręczyć się na gładką szosę.

— Do licha, co się pan gapisz! — krzyknął ktoś na mnie. Podparłem ramieniem krawędź platformy, obok dwóch robotników podkładała belki pod tylnie koła, wibrowały w miejscu, przyskakując nam w twarz mulistą cieczą.

— To ci robota! Jednego transportu jeszcześmy nie odesłali, a chłopci wiozą już nowy wyrób.

Podniosłem głowę. Robotnik patrzył na Wisłę. Zza mgły, od strony Janowca podpływały do brzegu chłopskie łodzie, spietrzone koskami. W dali za mgłą wyla syrena.

— Poczekaj! — zawolałem na głos — poczekaj! Przystaniesz niedługo ryczyć na mieliznach!

Nie będzie mielizn, nie będzie powodzi, będą ryby, będą elektrownie i zapory, będą barki tysiące tonowe, będą okręty...

W tej chwili byłem starym Borowcem, latarnikiem wiślanym, byłem Pietrasem, „wodnikiem” rzeźnym, byłem majstrem kamieniołomu, Doraczyńskim, byłem rybakim Wojtalikiem. Byłem — co tu gadać — czło-

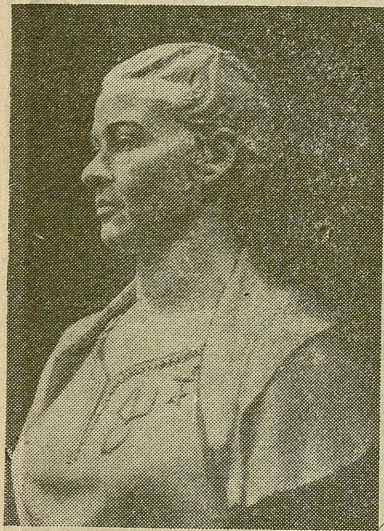
wiekiem powiatu pułaskiego!

W hotelu zastałem depeszę z redakcji — wracać!

Zbigniew Zalewski

ZOFIA KORNACKA

KOBIETA W KOŁCHOZIE



Rzeź. Z. Azburt

DZISIAJ, kiedy to pisać, mamy już w Felicianowie spółdzielnię produkcyjną. Nie było jej jeszcze, gdy wyjeżdżałam do Związku Radzieckiego.

O spółdzielni decydowali wszyscy, ale przede wszystkim — kobiety. Trzeba znać Felicianów, żeby wiedzieć, dlaczego tak się stało.

Historia mojego życia jest podobna do życia sąsiadów. Pochodzę z Długiego, moi rodzice mieli tam 6 hektarów. Na wysiedleniu w czasie okupacji poznałam męża, który był szewcem na wsi pod Brzezinami. Brałszy ślub w 1941 roku. Po wojnie nie było co liczyć na gospodarstwo ojcowiskie — pozostali tam moi bracia. Wywiano nas państwo, dostaliśmy 4,5 hektara ziemi z zabudowaniami. Inni mieszkańcy Felicianowa to także młode małżeństwa. A dzisiaj, w osiem lat po wojnie, w każdym domu kręci się po kilkoro drobnych dzieci. Ja sama mam troje: Marysię, Krysię i Henia.

Wiadomo, że kobieta z kilkorgiem dzieci, to uwanie głowy. A najgorsze, że już czasu nie starcza na gospodarstwo, coraz częściej, a to inwentarz głodny, a to wierzchnia nieopielona.

Nieraz wieczorami zastanawiałam się co robić, by ulżyć sobie w pracy. Rozmawiałam o tym z mężem, ze znajomymi. W rozmowie z mężem często padało słowo: spółdzielnia, ale ze znajomymi mówiłam tylko, że przydałyby się maszyny, przedszkole, piekarnia.

W maju 1952 roku przyszła wiadomość, że ktoś z gromady pojedzie do Związku Radzieckiego. Nie pomyślałam nawet o sobie, a i mąż nie mógłby pojechać, bo właśnie organizował grupę kółką na wyjazd po siano w Szczecinie.

Tymczasem na zebraniu mnie wybrano na delegatkę z Felicianowa. Nie wymawiałam się, bo bardzo chciałam pojechać, ale co z dziećmi?

Zaprosiłam do siebie siostrę męża z Łodzi, żeby zajęła się domem, a sama postanowiłam na wycieczkę jak najwięcej uwagi poświęcić życiu kobiety w ZSRR.

My oboje z mężem to tylko pragnęli, żeby już jak najprędzej powstała spółdzielnia. Z nami było kilkoro, ale reszta jeszcze słyszeć nie chciała o wspólności. Hamowały ich rodziny z sąsiednich wsi, że po co się spieszyć, lepiej jeszcze trochę popatrzeć.

Trzeba było ludzi przekonać. Mąż wpadł na pomysł, żeby jadąc po siano odwiedzić spółdzielnię produkcyjną w Maciejowie. Mieszka tam rodzina Kolas z naszej wsi, toteż wszyscy chętnie ich zobaczyli, a przy sposobności zetknęli się również ze spółdzielnią.

Ale główne argumenty miałam ja przywieźć, po zwiedzeniu kołchozów Związku Radzieckiego. I ja postanowiłam przemówić do kobiet, bo tu o nie chodziło najbardziej.

Obserwowałam więc w Związku Radzieckim głównie życie kobiet-chłopki, po to przecież przyjechałam. Na każdym kroku porównywałam to, co widziałam, z moją wsią.

Wiadomo, że kobieta wiejska ma na głowie trzy rzeczy: dom, gospodarstwo i dzieci.

A więc — dom. Ugotować, sprzątnąć, uprać, pocierać ubranie, uszyć dla dzieci i męża. Ile ja nastoję się nad blachą przy śniadaniu, obiedzie, kolacji. Drzewa muszą narabzać sama, bo mąż nie ma czasu. A ile wody trzeba się nanieść ze studni przy praniu! Kiedy piore, nie ma już mowy, żebym na godzinę wyszła w pole. Ileż mi czasu schodzi na ścibanie igłą dziecięcych koszulek, meżowych skarpet? Wszystko musi być na czas zrobione, bo nie mogę pozwolić, żeby mi rodzina świadczyła dziurami.

A w kołchozie imienia Budiennego? W ładnych, jednorodzinnych domkach wystarczy odkryć kurek i płynie woda. Kuchnie są elektryczne, kłufajerkowe, tak samo żelazka, a nawet odkurzacze. Prąd otrzymują kołchoźnicy z własnej elektrowni.

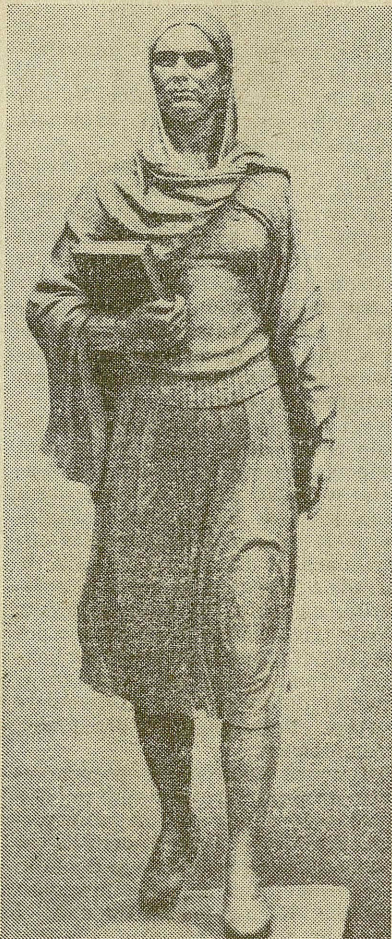
Prócz tego jest we wsi stołówka. Obiady bardzo smaczne w okresie najgorętszych robót, na przykład we żniwa kobieta nie musi już gotować w domu.

Zadumiała mnie pralnia kołchozowa. Maszyny wypiorą tam ubranie

i wysuszą w elektrycznej suszarni w ciągu paru godzin. My, uczestnicy wycieczki, oddaliśmy tam w południe bieliznę i sukienki, a wieczorem otrzymaliśmy wszystko czyste i wyprasowane. Nikt już potem nie dziwił się, że kołchoźnice są ustrójne, jak ludzie w mieście.

Kołchoz posiada także pracownię krawiecką, gdzie każdy może uszyć, co mu się podoba. Poza tym w każdym domu widziałam maszyny do szycia. Chleba także nikt nie piecze; sklepy są na miejscu, spożywcze i z artykułami przemysłowymi, łatwo więc jest zaopatrzyć się we wszystko. Te ułatwienia oszczędzają czas na gospodarstwo przyzgodowe i zespółowe.

Kołchoz jest olbrzymi. Liczy aż 10.000 ha. Ale większość pracy wykonują maszyny, człowiek jest tylko ich stróżem. Kobieta ani w polowie tak się nie umęczy jak u nas.



Rzeź. F. Abdurachmanov

W Felicianowie jak przyjdzie pielonka, żniwa czy wykopki, to nie wiadomo za co się wpięć braci. I wszystko patrzy na gospodynię. Nakleć się ona przy pielieniu, nawieźć sенокów, nakopie ziemniaków, aż krzyż boli.

Wszystko ręcznie. A jeszcze w obojętne trzeba oporządzić i światom uszykować, utuc, usiec, wydoić krowy, gnoć wyrzucić — wszystko własnymi rękami.

A w kołchozie im. Budiennego? Za pomocą elektryczności jedna dojarka wydoi 13 krow.

W specjalnym pomieszczeniu potną, usiekają, uparują paszę elektryczne maszyny. Woda do każdego stoiska podpływa rurami a krowa pije z automatycznego poidła.

W polu także najcięższe roboty wykonują maszyny. Jedną brygadę polowa, złożoną z 38 ludzi, uprawia 156 hektarów, mając do pomocy brygadę traktorową: 9 traktorów i

3 kombajny. Jeden traktor ciągnie 12 plugów.

A tymczasem w Felicianowie mamy niecałe 300 ha ziemi, rodzin sześćdziesiąt, a i to ciężko dać sobie radę.

Nic też dziwnego, że kobieta w kołchozie może wykonać tyle samo dniówek, co mężczyzna, może sama utrzymać rodzinę. Sama widziałam, jak jedna wdowa z kilkorgiem dzieci postawiła sobie dom z własnych zarobków.

Dalej — kobieta ciężarna jest zwolniona z pracy na miesiąc przed porodem i miesiąc po porodzie. Przez ten czas ma zapisywane dniówki tak, jakby pracowała. Gdy się źle czuje, to odwołuje ją do izby porodowej, gdzie ma już obsługę i pielęgnację.

Kołchoz im. Budiennego posiada dwa domy porodowe i jeden szpital. Jeśli kto jest chory, to lekarza i szpital otrzymuje bezpłatnie.

W kołchozie są przedszkola i żłobki dla małych dzieci, a osobno dla niemowląt. W przedszkolu na każde osiem dzieci wypada jedna opiekunka, prócz tego jest kierowniczka i kucharka. Dzieci dostają jeść cztery razy dziennie, a owoce i bułeczki, kiedy chcą. Każde dziecko ma swoje małe łóżeczko czysciutko zastane, aż miło popatrzeć. W drugim pokoiu niski stoi stół i krzesła, a na krzesłach takie jak foteliki. Widziałam pełną wannę zabawek, bo akurat opiekunka je myła. Były tam różne wiaderka, taczkę, piłę, zwierzątka i lalki.

W żłobku dla niemowląt jest stała lekarka, a jedna pielęgniarka obsługuje 5 dzieci. Bardzo mi się podobała taka opieka nad dziećmi. Matka może być w pracy spokojna o swoje pociechy.

Po powrocie do kraju opowiadałam o tym wszystkim naszym kobietom. Zamieniłam się w działaczkę społeczną — jak przedtem rzadko kiedy otwierałam usta na zebraniu, to teraz potrafiłam wygłosić przemówienie, poprowadzić dyskusję.

Dużo pomógł również wyjazd mojego męża na sianokosy. Chłopi zobaczyli na własne oczy, że w Maciejowie na ziemi nie lepszej niż u nas spółdzielnia uprawia buraki cukrowe i pięknie się udają dzięki maszynowej uprawie i głębokiej orce.

W Felicianowie zawsze się mówiło: „Tu się buraki nie urodzą”. A zależało na tym kobietom, bo buraki — to przecież cukier dla dzieci, na przetwory.

Ogromadzało się koło nas coraz więcej chętnych.

W lipcu 1952 roku podpisałam statut. Podorywką na naszych polach wykonał już traktor z Państwowego Ośrodka Maszynowego w Koluszach.

Kiedy patrzyłam na ten traktor, zrobiło mi się jakiejś radości na duszy. Za traktorem przyjdzie w przyszłości sенокoparka, kopaczka, a potem — kombajn. Wyobrażałam sobie nasze pola takimi, jakie te, które widziałam w kołchozach, zboża o pełnych ciężkich kłosach, buraki cukrowe.

Każdy wie, że matka życzy swoim dzieciom jak najlepiej. Otóż ja pragnę, aby moje dwie córeczki doczekały takiego życia, jakie mają kobiety w kołchozach radzieckich.

Zofia Kornacka
Felicianów, pow. Brzeżany

KLEMENS KAMIŃSKI

NA FERMIE HODOWLANEJ

POSIADAM 8,74 ha ziemi. Działkę otrzymałem z reformy rolnej. Przed wojną byłem robotnikiem w tułajskim majątku. Pamiętam taki okres, kiedy to przez dwa i pół roku nie wypłacono ani grosza i nie wydano deputatów. Ludzie musieli kraść nocami z pola, żeby nie umrzeć z głodu.

Dziwieniu z mojej gromady pracowało we dworze i wszyscy po wojnie dostali ziemię od 5—6 ha. Wszystkim się nieźle powodzi, wszyscy dobrze się wywiązują z obowiązków wobec państwa.

Z trzech stron otaczają naszą gromadę spółdzielnie produkcyjne. W Łęgowie istnieje już dwa lata wspólna gospodarka. Ludzie tam mają pieniądze, jedzą jak się patrzy i bez kłopotów sobie żyją. Rozmawiałem z nimi, to mi powiedzieli, że z siekierą by wygonili takiego, kto by im kazal ze spółdzielni wystąpić. Druga spółdzielnia w Ręglu wywiała się w 1951 r. — w 180 proc. z planowego skupu zboża. Jak długo pamiętam, nigdy w Ręglu nie było zboża nie sprzedawanego. Czy to znaczy, że ludzie tam odust sobie odjęli, żeby dać państwu? Nic podobnego, mają wszyscy w komorach więcej ziarna niż kiedyś. Wyprodukowali tylko więcej, bo lepsza była uprawa. Tak samo jest i w trzeciej spółdzielni w Sienniu. Tam już we wrześniu 1952 r. — plan odstawy był wykonany w 110 proc.

Tak więc wszystko zachęca do tego, żeby u nas założyć spółdzielnię. Przeszkadzają nam jednak w naszych planach kulacy. Bo na 54 gospodarstwa mamy 4 po 30 hektarów, a 13 — po 20 ha.

Kulacy rozsiewają rozmaite wrogie plotki, szerzą niezgodę między ludźmi, buntują jednych przeciw drugim, aby nie dopuścić do zjednoczenia produkcji.

Kiedy jechałem do Związku Radzieckiego, to bogacie mówili, że mnie zatukają, jeśli będę dobrze gadał o kołchozach. Wtedy powiedziałem, że nie będę gadał ani dobrze ani źle, tylko prawdę.

A teraz, co mnie najbardziej interesowało w kołchozach, mnie i moich sąsiadów? — Hodowla bydła. W naszej wsi mamy dobrze rozwiniętą hodowlę bydła. Ja sam, choć zacząłem gospodarować z pustymi rękami, dzisiaj mam 5 krow rasy nizinnej czarno-białej i 1 jałówek. Nie ma u nas gospodarstwa, gdzie by było mniej niż 2 krowy. I mleczność jest wysoka, bo 2500 do 3500 litrów, a procent tłuszczu — 3.

Wiem, że takie wieś, jak moja, mogłaby na palcach w Polsce policzyć, a u Poznańskim jest ich niewiele. My tutaj posiadaliśmy na hodowlę, bo mamy teraz ładne łąki i dostatek paszy z okopowizn.

Myślałem więc, że to co zobaczę w Związku Radzieckim będzie podobne do naszej hodowli, że owszem, może zaimponować wielu chłopom z innych stron Polski, ale nie mnie. A tymczasem...

Pierwsze nasze spotkanie z oborą kołchozową było bardzo śmieszne. Zobaczyliśmy z samochodem długi biał tynkowany budynek, obok którego kręciły się kobiety w białych fartuchach i białych opas-

kach na głowie. Ktoś głośno powiedział, co wszyscy pomyśleli: „szpital”. Bo muszę jeszcze dodać, że budynek był otoczony drucianą siatką i naokoło rosły drzewa.

Dopiero żeśmy się uśmieśli, gdy przyszło nam oglądać rogatych „pacjentów”. A dziewczęta białe ubrane t. były po prostu dojarki. Niektórzy z naszej grupy mieli uprzednie wątpliwości, czy to czasem nie na nasze przyjęcie dojarki tak się ubrały. Dopiero kiedy zobaczyli w lodowni na półce kilkadziesiąt takich czystych fartuchów na zmianę i odwieźli kołchozową pralnię mechaniczną (fartuch nosi dojarka 2 dni i oddaje do prania) — uwierzyli, że nie było tu żadnej budy.

To wszystko działo się w kołchozie im. Lenina w rejonie Kamieńca Podolskiego. Kołchoz ten powstał w 1923 r. Posiada 3370 ha ziemi i pracuje w nim 920 rodzin. Kołchoz nastawił się na hodowlę bydła i uprawę buraka cukrowego.

Krowy w kołchozie — to nie obrażając naszych kobiet — czerwone białogłowe z szerokimi poziomymi rogami. Przeciętna wydajność mle-

ka od sztuki, wynosi 5000 litrów. Dorosłe krowy ważą do 900 kg.

Obora w kołchozie jest murowana, duża, po bokach znajdują się stoiska krow, a środkiem jest przejście. Obornik wyrzuca się codziennie tak, że w oborze jest czysto jak w domu. Przy każdym stoisku krowy jest automatyczne poidło — krowa naciska tylko puskiem odpowiednią kłapę, a czysta woda podpływa gotowa do picia.

Nad każdą krową wisi tabliczka, na której kredą zapisuje się każdy udój, datę wycielenia i inne podobne dane.

Bydło jałowe przebywa przez całe lato na pastwisku. Tylko pastwiska są tam inne niż u nas. Ponieważ w kołchozie zaprowadzony jest płodozmian trawopólny, Williams, więc część gruntów jest obsiana wieloletnimi trawami i motylkowymi.

Krowy mają tutaj obfitość paszy, a nie tak jak u nas często widać: kilka suchych trawek, poza tym osty lub turzyce.

Muszę dodać, że jeszcze piękniejszą fermę bydła widziałem w sochozie im. Dymitrowa w tym samym rejonie. Jest to zarodowa obora, tym razem — rasy czarnej białogłowej. Tam przeciętna wydajność mleka wynosi 5800 litrów z zawartością tłuszczu — 4,3 proc.



ka od sztuki, wynosi 5000 litrów. Dorosłe krowy ważą do 900 kg.

Obora w kołchozie jest murowana, duża, po bokach znajdują się stoiska krow, a środkiem jest przejście. Obornik wyrzuca się codziennie tak, że w oborze jest czysto jak w domu. Przy każdym stoisku krowy jest automatyczne poidło — krowa naciska tylko puskiem odpowiednią kłapę, a czysta woda podpływa gotowa do picia.

Nad każdą krową wisi tabliczka, na której kredą zapisuje się każdy udój, datę wycielenia i inne podobne dane.

Bydło jałowe przebywa przez całe lato na pastwisku. Tylko pastwiska są tam inne niż u nas. Ponieważ w kołchozie zaprowadzony jest płodozmian trawopólny, Williams, więc część gruntów jest obsiana wieloletnimi trawami i motylkowymi.

Krowy mają tutaj obfitość paszy, a nie tak jak u nas często widać: kilka suchych trawek, poza tym osty lub turzyce.

Muszę dodać, że jeszcze piękniejszą fermę bydła widziałem w sochozie im. Dymitrowa w tym samym rejonie. Jest to zarodowa obora, tym razem — rasy czarnej białogłowej. Tam przeciętna wydajność mleka wynosi 5800 litrów z zawartością tłuszczu — 4,3 proc.

Zapisałem sobie, ile wynosi roczny udój od rekordzistek sochozów.

Krowa po 6-tym wycieleniu daje — 7124 l. mleka rocznie.

Krowa po 4-tym wycieleniu daje — 6765 l. mleka rocznie.

Krowa po 3-cim wycieleniu daje — 5987 l. mleka rocznie.

Krowa po 2-tym wycieleniu daje — 5671 l. mleka rocznie.

Krowa po 1-szym wycieleniu daje — 5115 l. mleka rocznie.

No, i tu już zmieknęł zupełnie, gdzie mnie tam do takich krow!

Na fermie hodowlanej pracują przeważnie kobiety. Praca nie jest ciężka, gdyż w dużym stopniu wyręczają je maszyny. Dojenie odbywa się na przykład przy pomocy aparatów elektrycznych. Pierwszy raz w życiu widziałem taki aparat.

Tak samo zmechanizowana jest praca przy przygotowaniu pasz. Widziałem np. maszynę do siekania okopowych i parnik. Mimo, że sytuacja, którą tu opisałem jest bardzo dobra, kołchoz nie poprzestaje na dotychczasowych osiągnięciach. Kołchoźnicy postawili sobie na najbliższe lata takie zadania: po-

pierwsze otrzymywać od 100 matek 100 sztuk przychówku; po drugie: przeprowadzić selekcję stada; po trzecie: ulepszyć utrzymanie i żywienie bydła.

Zadanie wychowania całego przychówka — to przede wszystkim zlikwidowanie jałowosci krow i padania cieląt. O możliwości osiągnięcia tego świadczy fakt, że są w kołchozie hodowczynie cieląt, które nie miały jeszcze ani jednego wypadku zmarowania się cielęcia, chociaż wychowały ich już po kilkakaset.

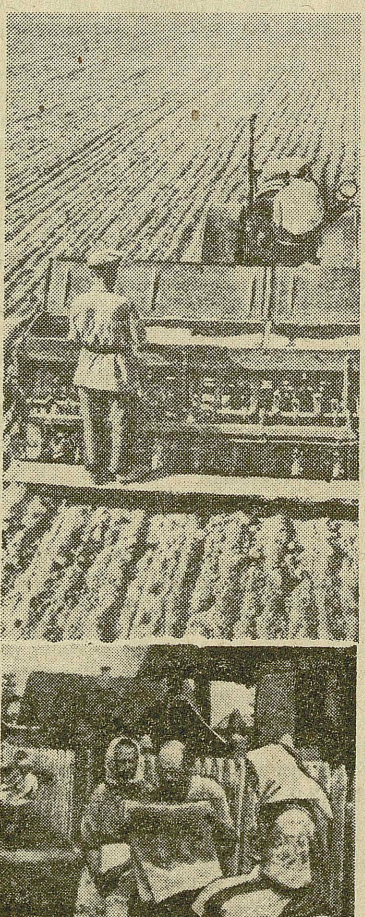
Napisalem o tym wszystkim dlatego, że chciałem pokazać, że jak wielką odpowiedzialnością podchodzi pracownicy fermy hodowlanej do swoich zadań. Są oni wysoko wykwalifikowanymi fachowcami i żadne osiągnięcie nie jest dla nich zbyt trudne.

Wiele się naprzytyłem i nauczyłem, a przede wszystkim jednego: tak wysoki poziom hodowli jest możliwy tylko w warunkach wspólnej gospodarki. Wtedy bowiem można osiągnąć wysoką specjalizację ludzi, zajmujących się hodowlą. Wtedy również oplaca się wprowadzić urządzenia i maszyny, które ułatwiają pracę i zwiększają jej wydajność.

Klemens Kamiński
Ochodza, pow. Wągrowiec

JULIANNA LEŚNIAKOWA

KONTRAKTA CJA



Powyżej zamieszczone wypowiedzi stanowią fragment broszury, jaką przygotowuje „Książka i Wiedza” z licznych wypowiedzi chłopów, którzy w tym roku odbyli wycieczkę do Związku Radzieckiego.

OD śmierci męża w 1947 roku jestem głową gospodarstwa. Mam 10 hektarów ziemi, dwa konie, trzy krowy i dwie jałówek. Kontraktuję buraki cukrowe, kapuste, jęczmień, ogórki, rzepak. Poza tym pracuję społecznie. Jestem członkinią Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Ligi Kobiet.

Kiedy gromada wybrała mnie na delegatkę do Związku Radzieckiego, w pierwszej chwili przestraszyłam się. Co będzie z gospodarstwem? Pomijając już wszystkie codzienne prace, czekały przecież na przecięcie i pielienienie dwie morgi buraków cukrowych.

Pojechałam do Wojewódzkiego Komitetu Wykonawczego ZSL poradzić się, co robić. A w Komitecie pracuję jako instruktor mój starszy syn. Więc urządziliśmy wspólnie, że syn dostanie urlop i zajmie się gospodarstwem a ja mogę spokojnie jechać.

W pierwszych dniach podróży śniły mi się co prawda parę razy Sulicce i zawsze kłopot: a to kura zdechła, a to prosiaczki nie nakarmione. Stale myślałam, jak tam sobie beze mnie dadzą radę. Ale potem pośród rozmaitych wrażeń przestałam się martwić o gospodarstwo.

Nie był to mój pierwszy wyjazd za granicę. W 1922 roku, jako 19-letnia dziewczyna, uciekłam ze służby u bogaczy w Rzeszowskim do Francji. Werbowano wtedy w Polsce służące do zamożnych domów francuskich. Jechałam z cie-

kawością, że poznam kawał świata. A poznałam tylko ciężką harówkę od rana do późnej nocy. Pracowałam jako pomocnica domowa, praćka, kucharka, pielęgniarka.

Wróciłam do kraju po 15-tu latach — z mężem. Mąż był emigrantem ze słynnego Łapanowa w pow. bocheńskim. Przez niego to zetknęłam się z ruchem ludowym.

Z oszczędzonych pieniędzy kupiliśmy gospodarstwo w Sulicach z parcelacji Poniatowskiego. Próż nas przybyło tu jeszcze 23 podobne rodziny — kilku Kaszubów, a reszta z całej Polski. Tak więc pierwszy raz wyjechałam za granicę z biedą i upokorzeniem. Jechałam jak wygnaniec, a wygnan nie głód i nędza.

Drugi raz jechałam za granicę — do Związku Radzieckiego — po naukę lepszego życia, nie jako nędzarz, ale jako gospodyni. Dużo sobie zapisałam i dużo zapamiętałam z wycieczki.

Przyjeżdżałam do kołchozu we wsi Pieszkowo nazywanego: Testament Włodzimierza Iljicza. Przewodnikiem naszej grupy w kołchozie był tułaj Michał, przewodniczący, starszek, który po wojnie ukończył wyższą szkołę rolniczą.

Kołchoz powstał w 1928 roku przed drugą wojną światową zrzeszał 600 gospodarstw na 7.600 hektarów. Do 1940 roku dorobili się już ludzie bogactwem: 1100 krow, 500 uoiów, 150 koni, 300 owiec, 10 tysięcy sztuk drobiu, 8 samochodów ciężarowych.

Cały ten dorobek zmiołła wojna. Kołchoz został doszczętnie zniszczo-

ny i rozgrabiony przez hitlerowców. Zdawało się, że nie będzie już więcej na mapie wsi Pieszkowo.

Ale faszysti nie znali człowieka radzieckiego. Kołchoźnicy wrócili do gziłszcz i odłogów, przyprowadzili raptiem trzy konie i 5 owiec. Ale przynieśli z sobą niezłomną wolę doprowadzenia gospodarstwa do kwitnącego stanu. I co powiecie? Wiosną 1952 roku można już było naliczyć w kołchozie 1000 sztuk rogacizny, 170 koni, 1500 owiec, 900 świń, 100 uoi, 12 samochodów.

Mnie jednak najbardziej utkwiły w pamięci rośliny przemysłowe uprawne. Sama jestem zapaloną plantatorką, wiem dobrze ile ważą one w dochodowości gospodarstwa, znam też plantatorów z sąsiedztwa. Ale takich plantacji jak w kołchozie Pieszkowo u nas nie spotkasz nigdzie. Powiem najpierw cyframi.

Kołchoz zasiał w tym roku 8 ha rakniczka, 20 ha roślin oleistych, 200 ha słonecznika, 100 ha kukurydzy, 422 ha bawełny. Piękne pola, dorodne i jednolite. Staniem na jednym skraju — drugiego końca okiem nie dojrzysz. Aż żal mnie brać, gdy wspaniała nasza parowozowa poletka. I ile się na takich skrawkach musimy namordować! Tu wszędzie robią maszyny, bo pola wielkie i ciągłe. Jedną brygadę traktorową z polową potrafi obrabić 1000 — 1200 ha a przecież to są rośliny przemysłowe, bardzo pracochłonne.

W laboratorium kołchozowym przeprowadza się próby nad zawartością tłuszczu w roślinach, nad puchem bawełny. Jeśli kołchoźnicy dostrzegą wśród roślin bardziej wydajne, to nasienie ich zbierają osobno i wysiewają na działkach doświadczalnych. W ten sposób otrzymują nowe odmiany roślin. Uprawia roślin przemysłowych zajmują się kołchoźnicy specjalistami. To stanowi między innymi wyższość gospodarki zespolonej nad indywidualną. Przy podziale pracy każdy może robić to, co najlepiej umie. Ot, u nas w Sulicach Klewka odstawia w tym roku 800 kg żywności ponad plan. Jemu się darzą świniaki, toteż świetnie by mógł poprowadzić spółdzielczą chlewnię.

hony 500 tys. rubli dochodu. Na 1952 r. przewiduje się trzy miliony 300 tysięcy rubli.

Pierwszy raz w życiu widziałam bawełnę i raknicę. Ciekawa byłam jakie są plony tych roślin. Dowiedziałam się że bawełny otrzymują kołchoźnicy 32 q z ha, raknicza 22 p z ha z zawartością 48 proc. tłuszczu. Plony innych roślin przemysłowych są również wysokie. Słonecznik daje 38 q z ha, kukurydza 62 q.

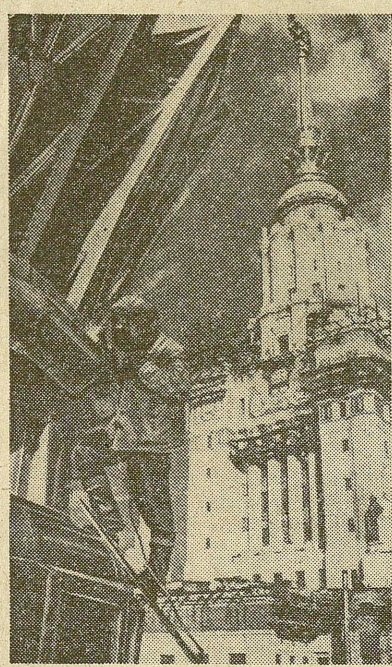
W kołchozie pracuje się jednak dalej nad udoskonaleniem tych roślin. Kołchoźnicy starają się wydobyć np. taką roślinę raknicza, żeby liście jej opadały przed zbiorami, a nasiona były w jednej gromadzie. Przez to znacznie można będzie usprawnić zbiór rakniczki kombajnem.

W laboratorium kołchozowym przeprowadza się próby nad zawartością tłuszczu w roślinach, nad puchem bawełny. Jeśli kołchoźnicy dostrzegą wśród roślin bardziej wydajne, to nasienie ich zbierają osobno i wysiewają na działkach doświadczalnych. W ten sposób otrzymują nowe odmiany roślin. Uprawia roślin przemysłowych zajmują się kołchoźnicy specjalistami. To stanowi między innymi wyższość gospodarki zespolonej nad indywidualną. Przy podziale pracy każdy może robić to, co najlepiej umie. Ot, u nas w Sulicach Klewka odstawia w tym roku 800 kg żywności ponad plan. Jemu się darzą świniaki, toteż świetnie by mógł poprowadzić spółdzielczą chlewnię.

Julianna Leśniakowa
Sulicce, pow. morski

JAN STEFANIAK

Moskwo!



Chiny, gdzie był wieczny głód i bezrobocie, dzisiaj się rozwijają i tak będą piękne, jak jest Związek Radziecki.

Wszystkie narody walczą o swoje wyzwolenie i wolność wywalczą wcześniej czy później.

Walki narodów, jak: Italii, Francji, Wietnamu, czy innych o swoją wolność, być muszą skuteczne, bo tego chce naród.

Nierówna zdawała się walka robotnika i chłopu w Rosji. Car przecież był bogiem ziemi, jak mówiono w szkole i cerkwi. Jednak naród zrozumiał, do czego prowadzi go partia bolszewików i proletariatu, obalił dyktando cara i dziś buduje kraj komunizmu.

Naród Związku Radzieckiego udowodnił, że nie ma bogów na ziemi i wladców, jest tylko lud, który może wszystkiego dokonać, do niego należy władza i ziemia.

Kraj rozkwita, buduje swoje giganty. Zaporozie, Dnieprostroj, Komсомolsk, Wolga—Don, buduje KOMUNIZM.

Z A chlebem, za pracą zjeżdżałem przed laty pół świata. Widziałem dużo stolic, piękne gmachy, pełne sklepy towarów, ulice wezbrane tłumem. Ale serce chciało pęknąć, gdy w New Yorku goniono, bito, linczowano Murzyna lub gdy spracowane ręce wyciągały się, żebrać o parę centów. Widziałem, jak dziecko oberwane wchodzi do piekarni i prosi o czerstwy chleb. Jak właściciel piekarni wygania je, a ono wychodzi płacząc z głodu. Na głównej ulicy na schodach przypada sturazka, drży ze zniechęcenia i głodu. Tak wyglądają stolicy w krajach kapitalistycznych. Kawę wyrzuca się do morza. Wylewa się miliony litrów mleka. Argentyna pali sterty pszenicy. Dzieci umierają z głodu. Miliony głodnych. Kapitaliści pijani trują samochodami ludzi i uchodzą bezkarnie. Gdy robotnik upomni się o centa podwyżki — nazywany komunistą dostaje się w ręce policji. Wokół stolic na przedmieściach znajdują się osiedla robotnicze. Tam pójść, a obnaży się wam cała prawda o dobroci, o bogactwie Ameryki. W tych dzielnicach robotniczych zobaczycie nagich i głodnych, suchotnych i umierających wolańczy chleba.

O Moskwie, stolico Republiki Rad, jakaś Ty inna!

Na Twych ulicach nie ma głodnych, nie ma żebraków.

Na Twych ulicach widzę starszaków, dzieci i młodych, wesołych, sytych, ubranych.

Moskwo, na Twych ulicach każdy człowiek wie, dokąd idzie, do pracy, do zakupu, do zebrania, na spacer, do teatru... do wolności.

W stolicach krajów kapitalistycznych bezrobocie idzie, a nie wie dokąd. Nie wie, czy dzisiaj przyniesie coś do domu, nie wie nawet, czy sam wróci. Bo spotka się kilkunastu bezrobotnych, a zaraz podłucha tajemnic, zawoła policję, zabiorą do więzienia.

Moskwo, Twoe piękne ulice są czyste, nie ma śmieci, nie ma papierka. Moskwo, Ty masz miliony ludzi, którzy z honorem o Tobie mówią, o piękno i czystość Twoja dbają.

Twoje ulice jak place szerokie, przy nich wielkie magazyny, a w nich pełno kupujących i pełno towaru.

Okna wystawowe i reklamy dnem i nocą widnieją dla wszystkich, dla wszystkich mieszkańców.

Życie w Tobie płynie nieprzerwanie czy w dzień czy w noc, zawsze wesoło, zawsze radośnie.

O Moskwie możnaby napisać tomy księzek, chociaż już są.

W Moskwie, gdy trzeba, cały dom przesuną i jeszcze go nadbudują.

A Puszkina, aby lepiej widział Moskwę z jednego miejsca, w inne piękniejsze przeniesiony. Teraz wokół Puszkina piękny zieleńiec, fontanny do góry biją, plac mozaiką ułożony.

Kanał Wolga—Moskwa w kamienne tu objęty ścianą. Tylko po niespokojnej wodzie, jakby gotującej się, poznać jaki to przybór dalekich i wielkich rzek.

Moskwo, Two bogactwo i piękno trudno opisać, bo radość człowieka, który stapa po Twych ulicach, przebiega myśl. Gdy ona zatrzymuje Twój obraz, Ty wielka i piękna każdego dnia powstajesz budowlą nową, wyższą, piękniejszą.

Stolica Republiki Rad, stolica proletariatu świata jest i będzie najpiękniejsza.

Piosenki o Moskwie śpiewa robotnik, kolchoźnik, artysta.

Proletariat świata mówi o Moskwie i oczy ma zwrócone na Ciebie.

Tak może być pięknie w każdej stolicy, ale tylko wtedy, gdy nie będzie wyzysku.

Warszawa też będzie piękna, Praga czy Bukareszt również za rok, dwa, trzy.

Człowiek to wszystko zrobi, ale człowiek musi być wolny, jak w ZSRR, jak u nas, w krajach demokracji ludowej.



STANISŁAW CIEŚLAK



„...DO CORAZ LEPSZEGO ŻYCIA...”

POKOLENIE nasze znalazło w sobie odwagę, aby podjąć dzieło trudne, lecz niezbędne: odrobienie w ciągu niewielu lat ogromnego zacofania naszego kraju, które jest jednym z głównych źródeł przeżywania przez nas trudności — głosi program Frontu Narodowego.

„Zacofanie to nie zostało przez nas wymyślone. Jest to wiekowa gorzka spuścizna przekazana nam przez całą historię naszego kraju, którą boleśnie odczuwaliśmy od dawna najlepszych synowie naszego narodu.

Gdy Stanisław Staszic inicjował pierwsze w Polsce planowe poszukiwania geologiczne („O ziemiorództwie Karpatów”, Warszawa, 1815), gdy jako dyrektor Wydziału Przemysłu i Kunstów Królestwa Kongresowego zakładał pierwsze nowoczesne kopalnie, huty, odlewnie żelaza i metali kolorowych, gdy powoływał do życia Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, o pierwszych zalążkach zespołowej gospodarki na roli, gdy organizował pierwszą w Polsce wyższą szkołę techniczną w Kielcach — to była swoista próba przezwyciężenia tego zacofania naszego kraju.

Trochę pokolenia budowniczych kapitalizmu w Polsce zdołały wprawdzie w latach 1750—1850 podwoić produkcję przemysłową naszego kraju, lecz nie zdołały przezwyciężyć techniczno — ekonomicznego jego zacofania, nie były zdolne nawet do postawienia tego problemu w sposób zadawalający.

A wkrótce później w okresie gniącego już kapitalizmu, klasy posiadające Polskę z obojętnością patrzyły na postępującą szybko degradację naszego kraju. W roku 1930 ziemia polska różniła już z 1 ha — żywności, surowców rolniczych i mineralnych dwa razy mniej niż ziemia francuska, dwa i pół razy mniej niż ziemia niemiecka, trzy razy mniej niż ziemia belgijska. Na głowę ludności wydobywano w Polsce wszelkiego rodzaju surowców dwa razy mniej niż w Anglii, trzy razy mniej niż w Danii, sześć razy mniej niż w USA. Poziom zaś produkcji przemysłowej w przeliczeniu na jednego mieszkańca kraju był w Polsce dwa razy niższy niż we Włoszech, pięć razy niższy niż we Francji, dziesięć razy niższy niż w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w tych Stanach Zjednoczonych, które jeszcze w r. 1750 liczyły dwa razy mniej ludności niż Polska, a w r. 1850 — już dwa razy więcej, a w roku 1930 — już sześć razy więcej ludności niż Polska.

A przecież ziemia polska nie była i nie jest gorsza od innych, a naród polski nie był i nie jest mniej zamożny w pracy, niż inne narody. Ale byliśmy spychani na coraz gorsze miejsce w świecie przez działanie nieubлагanych, wilczych praw rozwoju kapitalizmu.

Trzeba dodać, że niemało było przy tym kapitalistów i obszarników

polskich, którzy z zadowoleniem, zle ukrywaniem, patrzyli na to, że zacofanie się Polski na 24 miejsce w świecie (pod względem surowcowej wydajności ziemi), a 51. miejsce w świecie (pod względem jej wartości na głowę ludności), gdy możliwości wyzysku mas pracujących w kraju tak zacofanym były o wiele przeciętnie szersze niż w kraju rozwiniętym gospodarczo...

A czy mogło być inaczej w czasach, gdy 5 kapitalistycznych państw Europy Zachodniej, które liczyły razem zaledwie 6 proc. ludności świata, a zajmowały tylko 1 proc. jego powierzchni jeszcze w r. 1930 — a więc już w okresie schyłku swej potęgi i wzrastającej zależności od USA — zagrabiły dla siebie połowę wszystkich surowców wytwarzanych przez wszystkie kontynenty świata i posiadały monopol na produkcję i dostawę dwóch trzecich wszystkich wyrobów przemysłowych wywożonych na zamorskie rynki?

Czyż mogło być inaczej w epoce degradacji nie tylko poszczególnych narodów, ale i całych kontynentów, gdy Azja — 20 proc. powierzchni ziemi i 53 proc. jej ludności, Azja — kontynent największych możliwości produkcyjnych (połowa światowych zasobów ropy, węgla, żelaza, metali kolorowych itp.) wytwarzała tylko 14 proc. ogólnej produkcji surowcowej świata, z czego zaledwie tylko połowa pozostawała w Azji na potrzeby miliarda jej mieszkańców, a połowę wywożono do centrum wyzysku ekonomicznego i politycznego świata, do Europy Zachodniej?

Wiekowe zacofanie naszego kraju i innych krajów i całych wreszcie kontynentów można zilokwidować jedynie na bazie skutecznego budownictwa socjalistycznego. „A zlikwidować je — uczy Stalin — może jedynie proletariatu, który zbudował swą dyktaturę i „dźwierz w rękach kierownictwo kraju”.

Ale to prawdę odkryła światu dopiero Rewolucja Październikowa, ale też prawdy dowiodła dopiero „szturmowa Brygada światowego ruchu rewolucyjnego i robotniczego”, partia Lenina—Stalina, budująca pierwsze w dziejach państwo robotników i chłopów.

Obecnie, gdy na ogromnych obszarach świata od Pacyfiku do Łaby działa, idących za wzorem i korzystających z pomocy partii Lenina — Stalina, więcej takich brygad szturmowych, „tętnięcych walcząco, a i praca poszła raźniej”.

„Wykonanie wielkich planów narodowych bieżącego 10-letnia uczyni Polskę krajem potężnego nowoczesnego przemysłu, krajem rozwijającego się, postępowego rolnictwa, krajem wysokiej kultury, jednym z produkujących krajów Europy. Gdy piszę te słowa zacieram się z programu Frontu Narodowego, Polskie Radio wyzywa właśnie do powrotu na posterunki pracy członków Komitetów Przeciwpowodziowych w

dorzeczu górnej Wisły i jej dopływów, gdzie po ulewnych deszczach wezbrały potoki górskie, grożąc powodzią.

Nie dla każdego nasze ziemie górskie są najbliższe sercu, ale każdy z nas kocha te piękne ziemie starego polskiego osadnictwa. Mucharz w powiecie wadowickim nad Skawą istnieje już w XI wieku, Żywiec nad Sołą powstał w XII wieku, Kamienica u stóp Turbacz na Górną Wisłę starszy jest od Warszawy i pojawia się na pierwszych, arabskich mapach tej części Europy już w XII wieku. Przecież tu każda grządka ziemi przesiąknięta jest potem i łzami wielu pokoleń polskiego ludu pracującego i jego krwią przeaną w setkach buntów i powstań chłopskich. A poza tym trzeba wiedzieć, że chodzi tu o ogromny obszar 14-cie tysięcy kilometrów kwadratowych, liczący kilka milionów ludności, 63 miasta, 17 uzdrowisk, 535 osiedli wiejskich i 500 zakładów przemysłowych. Obszar, na którym przebiega 700 km. bitych dróg kołowych, 180 km. kolei, na którym istnieje 2 000 mostów i przepustów. Cyfry te dają wyobrażenie o skrociach, jakie, jakże często, wynikają z czterokrotnych w ciągu roku powodzi, kiedy wszystkie te osiedla i budowle, jak również 20 tys. użytków rolnych atakowane były przez gwałtowny spływ wód i okrucich skalnych.

Z jaką więc radością i dumą czytamy w programie Frontu Narodowego o ujarzmieniu w obecnym 10-letniu Wisły i jej wszystkich dopływów górskich, Bugu, Notei i Warty itp., o wydobyciu z ich wód ogromnej ilości energii elektrycznej, wystarczającej do elektryfikacji wszystkich wsi w Polsce, znacznej części przemysłu i transportu kolejowego, do nawodnienia 200 tysięcy ha użytków rolnych, cierpiących co roku od posuchy i zabezpieczenia dalszych 200 tysięcy ha narażonych co roku na powódź.

Mamy jeszcze wiele trudności i braków, nie mamy jeszcze ani w przemyśle, ani w budownictwie, ani w transporcie, ani w rolnictwie, mimo ogromnego przewrotu technicznego w stosunku do czasów przedwojennych, takiej jeszcze ilości nowoczesnych narzędzi pracy i maszyn, któreby pracę produkcyjną uczyniły lekką a bardziej wydajną.

Nie ubieramy się jeszcze, ani odżywiamy, ani mieszkamy tak, jak byśmy tego chcieli.

I dlatego z radością nadzieją i dumą wcielamy w życie program Frontu Narodowego, bo wiemy, że dzięki niemu do r. 1950 zwiększymy produkcję przemysłową 10-krotnie, a produkcję rolną blisko dwukrotnie. Że na bagnach Wizny w woj. białostockim, gdzie dziś załozymy głosem nawołują się tylko czajki, powstanie wkrótce wielki Północno — Wschodni Okręg Przemysłowy, że obudzi się do nowego życia w górach Świętokrzyskich i w widłach Wisły i Sanu Staropolski Okręg Przemysłowy, że zadyktują kominy nowego Nadnoteckiego Okręgu Przemysłowego ze stolicą w Pile, że Kujawy wkrótce już szczyć się będą wielkim okręgiem przemysłowym z ośrodkiem w Kłodawie, że uprzemysłowione zostaną ziemie górskie Sudetów i Karpat od Jeleniej Góry do Ustrzyk, że wzduż wielkiej trasy wodnej Wschód — Zachód oraz wzduż Wisły powstaną wiele nowych zakładów przemysłowych, że znikną ostatecznie z mapy naszego kraju zacofane województwa, pozbawione przemysłu, tej głównej dźwigni rozwoju gospodarki i kultury.

Najbliższe 10-lecie — to również wspaniały rozwój i ściśle powiązanie z macierzą Śląska Opolskiego i Dolnego, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, Warmii i Ziemi Mazurskiej, które w warunkach niemieckiej gospodarki były i musiały być zaniedbanymi peryferiami, zagospodarowanymi wyłącznie pod kątem przygotowania strategicznej bazy wypadowej przeciwko Polsce i Związkowi Radzieckiemu.

Dziś jeszcze co drugi list korespondenta robotniczego i chłopskiego przynosi słowa skargi i bólu z powodu — niezawinionych przez autorów tych listów, a spowodowa-

nych przez poprzedni ustrój — braków w wykształceniu. Choć już dziś uczy się w naszych szkołach czwarta część ludności naszego kraju, naród nasz z ogromną radością i dumą przyspiesza wykonanie Planu 6-letniego, bo wie, że już w obecnym 10-leciu zlikwidujemy skutki dawnej ciemnoty, a wszystkim dzieciom w wielkich miastach jak również znacznej części dzieci wiejskich zapewnimy podstawowe wykształcenie w zakresie szkoły średniej.

Wiele jeszcze milionów robotników, pracowników umysłowych i młodzieży szkolnej dojeżdża dziś z odległych nieraz stron codziennie do miejsca pracy i nauki, nie mogąc przenieść się do miasta z powodu ciasnoty mieszkaniowej naszych miast, zahamowanych w tym rozwoju przez ustrój kapitalistyczny. Z jaką radością i nadzieją czytają oni o całkowitej odbudowie Warszawy, Wrocławia, Gdańska i Szczecina, o budowie dwóch nowych 100-tysięcznych miast Nowej Huty i Nowych Tych, o rozbudowie wielu małych miasteczek na wielkie ośrodki przemysłowe (Kłodawa, Siedlce, Zambrów, Turek, Kraśnik, Puławy, Nowy Targ itp.), o gruntownej przebudowie Łodzi oraz miast węglowych Górnego i Dolnego Śląska, o budowie setek nowych osiedli mieszkaniowych — co podwoi niemal pojemność ludnościową naszych miast.

Rok 1952 przejdzie do historii naszego narodu jako rok Konstytucji, rok ogłoszenia wielkiego programu Frontu Narodowego, rok wspaniałej manifestacji jednoci polityczno-moralnej naszego narodu przejawionej w wyborach do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Co jest rysem najbardziej znaczącym tych wielkich wydarzeń, które zmobilizowały miliony Polaków i Polek do jasnego wyrażenia swych myśli, uczuć i woli, do pracy i walki?

„Ich cechą najbardziej znamienawą — wyjaśnia Prezydent Bolesław Bierut — jest umocnienie się przekonania, że kroczymy po szlaku drożdze, po niezawodnej drodze, która prowadzi do dalszych zwycięstw, do coraz lepszego życia dla wszystkich ludzi pracy.

Skąd płynnie to przekonanie? Płynnie ono z doświadczeń, które co dzień gromadzą miliony ludzi porównując swój ciężki los i swoją niedolę w ustroju kapitalistycznym z tymi możliwościami, z tymi warunkami, które powstają w tworzącym przez nich ustroju socjalistycznym w Polsce, która przestała być dla nich macochą, a stała się Matką”.

A była tą macochą przez wiele stuleci. I dlatego w ciągu całej tysiącletniej historii naszego narodu, jak i w historii innych narodów, ogromna większość energii społecznej wydawała się w wewnętrznych walkach klasowych i w wojnach zewnętrznych, do których zmuszani byli ludy przez politykę wyzysku i ucisku, prowadzoną przez państwowe klasy społeczne.

Ograniczenie, wypieranie i likwidacja na bazie budownictwa socjalistycznego państwowych klas społecznych zmienia zasadniczo obraz naszego kraju. Stwarza bowiem warunki do powstania i do rozwoju jednoci polityczno-moralnej całego narodu, do umocnienia więzów braterstwa i przyjaźni łączących go z innymi narodami, do skupienia energii całego narodu na przekształcenie gospodarki i kultury całego kraju stosownie do potrzeb narodu.

Krocząc naprzód naród nasz wśród walki i pracy zwraca dziś myśli swe i serca ku szturmowej brygadzie proletariatu światowego, ku partii Lenina — Stalina, ku przywódcy mas pracujących całego świata Józefowi Stalinowi.

To przecież Rewolucja Październikowa otworzyła przed naszym narodem te wspaniałe drogi, którą dziś pod przewodem swej bohaterkiej klasy robotniczej i jej partii kroczymy.

To przecież Kraj Zwycięskiego Socjalizmu, jego przyjaźń, pomoc i przykład umacnia nasze siły, wielokrotnie wyniki naszej pracy, daje pewność ZWYCIĘSTWA.

Stanisław Cieślak

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

SPOTKANIE Z TRAKTORZYSTĄ

Świeci miesiąc, świeci gwiazd kilka,
a tam w cieniu chyba czyja wilka.

Ej, to nie wilk, nie wilk tam przysiadł,
zwykły traktor — orała gromada.

A może to czasem jakiś złodziej
na skraj lasu pod wioskę przychodzi?

Tak, to złodziej, ale bardzo dziwny,
on się skradł do serca dziewczyny.

Nie bój się dziewczyno, nie bój że się,
wilków nie ma już w tutejszym lesie.

Tylko na wprost okna twojego domu,
stoi sobie szofer pokryjomy.

Rankiem, skoro słońce las ozłoci,
zobaczysz go znów przy robocie.

Traktor ruszy ze śpiewem szofera,
co przed twoim domem stoi teraz.

Jeśli tak, to niech w cieniu nie stoi,
niechaj przyjdzie prosto do drzwi moich.

Jan Stefanlak
POM — Okręg Łódzki

MARIA ŻMIGRODZKA

O CHLEBIE I SOLI...



Maria Jarochowska

OFIARUJECIE nam w da-
ze chleb, to znaczy
zecz, która jest czymś
ajdroższym dla każde-
go człowieka pracy i o-
fiarujecie nam sol waszej
mądrości. — tymi słowami dziękował
po.ski chłop, członek spółdzielni
produkcyjnej „Lepsze jutro”, u-
kraińskim kolchoznikom za serdecz-
ną przyjęcie i za bogactwo wiedzy i
doświadczeń, którymi dzielili się ze
swoimi braćmi znad Wisły równie
chętnie i szczerze jak białym,
wspólnym kolaczem. To zdanie wy-
jaśnia w pełni tytuł zbioru reportaży
Marii Jarochowskiej* poświęconego
wycieczce chłopów polskich do
Związku Radzieckiego w lecie 1950
r. Spółdzielcy chleb, który wyhodu-
ją krajowi polscy chłopcy, zawdzię-
czają będziemy nie tylko trudowi lu-
du, jego woli i dzwignięcia Ojczyzny,
nie tylko mądrej polityce naszej par-
tii, lecz także trzydziestu kilku la-
tom trudnych pionierskich doświad-
czeń ludzi radzieckich. Uparta wola
zbudowania nowego życia, entuzjazm
i ofiarność, zaufanie do „wskazań
Lenina i Stalina sprawiło, że rolni-
stwo Związku Radzieckiego produ-
kuje światu, że toruje chłostwom kraj-
ów zmierzających do socjalizmu
drogę o ilez łatwiejszą, pozabawioną
iluz trudności, wahań i błędów. Pio-
nierski trud kolchozników radzie-
ckich okazał się musieli i książka Ja-
rochowskiej, choć autorka nie była,
rzecz jasna, w stanie uwzględnić w
swoim raporcie o doświadczeniach
chłopów polskich dziełach kolektyw-
zacji w Związku Radzieckim. W in-
formacjach uczonych i kolchozników,
we wzmiankach o historii zwiędza-
nych kolchozów trud ten rysuje się
w sposób przejmujący. Brak do-
świadczeń w zakresie nowych form
życia, konieczność wieloletniego wy-
pracowania metod i norm pracy,
trudność zwalczania „duszy posiadac-
czy” dla podjęcia bezprzekładnej w
dziełach decyzji, wściekły opór roz-
wydrzonego latami domowej wojny
kulakstwa — z jednej strony, z dru-
giej zaś — jałowość ziemi, wynisz-
czona rabunkową gospodarką, zaco-
fanie i ubóstwo zrujnowanego woj-
ną kraju — oto warunki, w jakich
ludzie radzieccy rozpoczęli swą
heroiczną drogę ku nowemu. A po
latach zwycięstw i osiągnięć nisz-
czyielska wściekłość band hitlerow-
skich sprawiła, że zaczynał trzeba
było niemal od początku, na zdi-
czalej ziemi, wśród zgłizści i ruin.
„Ale pozostało coś, co decyduje o
wszystkim. Pozostały kadry” — pi-
sze Jarochowska. „Ołbrzymia ener-
gia, z jaką zabrali się do odbudowy,
wspaniały entuzjazm tych chłopów
jeszcze raz stał się potwierdzeniem
siłowności wybranego przez nich kie-
runku rozwoju”. Dzieki temu właśnie
ludzie radzieccy zdobyli się na to
zduńmiewające tempo leczenia ran
wojennych, które w parę lat nie ty-
ko pozwoliło nadrobić wszelkie zni-
szczenia, ale stworzyło podstawę no-
wego potężnego skoku w losach Kra-
ju Rad — rozwoju do komunizmu.
Obserwowałam to zjawisko ze zdumie-
niem chłopcy z polskiej wycieczki,
zwiądzający obwód odeskki: „Kraj po-
suchy, głodu i rozpacz stał się krajem
zwykłej ludzkiej radości. Ujarz-
miona jest ziemia i ludzie przeto-
rzeni tak, że nie dziwują się już swo-
mu szczęściu”.

Wycieczki chłopów polskich do
Związku Radzieckiego stały się naj-
lepszym środkiem propagandy spół-
dzielczości produkcyjnej, której roz-
wój stanowi o przyszłości naszego
kraju. Perfidnej a bzdurnej plotce
wroga klasowego, własnym leksem,
oporom, nawykom przeciwstawia-
mą pracujący chłopcy doświadczenia
naukowych poszukiwań i spostrzeżeń,
obserwację pracy prostego człowie-
ka radzieckiego, wgląd w kalkulację
rentowności gospodarki kolchozowej,
poznali najbardziej nowoczesnych
form uprawy i wykorzystanie mas-
zyn, nad którymi czuwa produkują-
ca nauka i technika. Chłop polski
może skonfrontować losy swoje i
swoich bliższych z życiem ludzi ra-
dzieckich, z perspektywami przy-
szłości dzieci kolchozników. Wybór
może być tylko jeden: „ten chleb
doświadczeń, ta sól mądrości, do-
pomoc setkom tysięcy polskich chło-
pów zbudować na swoich wsiach so-
cjalizm”.

Pion wycieczek chłopów polskich
do ZSRR w latach 1950—52 to nie
tylko bezpośrednia, usna agitacja
po wsłach i spółdzielniach produk-
cyjnych, nie tylko twórcze wyzyska-

ności pracy zespołowej zakończył
krótko: „Spodobalo mi się”. Wład-
sław Senderak natomiast, przewo-
niczący spółdzielni produkcyjnej,
który „nie po przekonaniu wyjeź-
dził” dodaje: „Jak ktoś śmie źle po-
wiedzieć o Związku Radzieckim, to
mu się naplije w oczy”.

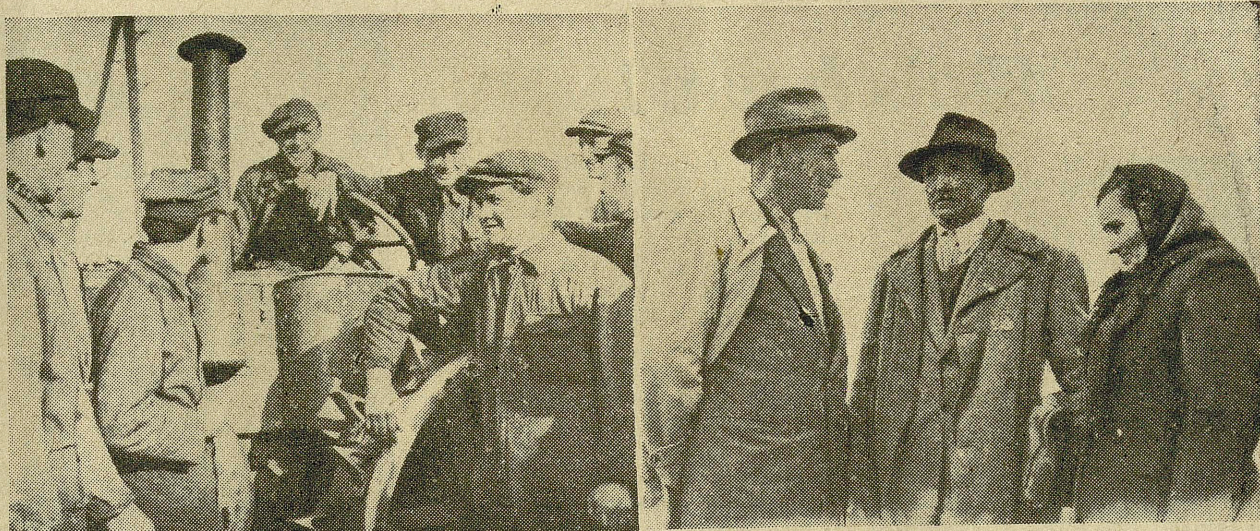
Maria Jarochowska słusznie i
trafnie wskazała na te momenty,
które miały dla polskich chłopów
największe znaczenie agitacyjne, któ-
re w sposób najpełniejszy przekony-
wały ich o wyższości gospodarki ze-
społowej i pięknie perspektyw
wspólnej pracy. Już na wstępie po-
droży po Ukrainie natknęli się na
zjawisko, które nadało żywą i urze-
kającą treść temu, co może obito się
im już o uszy o współpracy nauki
z kolchoznikami radzieckimi. Po-
gardzana przez stulecia praca chłop-
ska, uciążliwa i tepe „grzebanie w
gnój”, ukazała się teraz chłopom
polskim jako jedna z najdoniośle-
jszych w skali krajowej gałęzi wie-
dz, jako dziedzinę wymagającą
pracy mózgu na równi z pracą rąk,
zmuszającą do stałego pomnażania
swoich wiadomości teoretycznych,
do ciągłego kontaktu z wynikami
przodującej grupy naukowców. Od-
kryto przed nimi wielkość i piękno
pracy człowieka, opanowującego
przyrodę, ukazano potęgę myśli i
trudu ludzkiego w wynikach codzien-
nego prostego dnia roboczego ra-
dzieckiego chłopca. I to okazało im
zwrociło uwagę na własne, niewyży-
skane możliwości, kało żałować za-
pobawionych nauki i światła, trzy-
mających przez wrogów w ciemności
i niewiedzy.

Drugim olśnieniem była mecha-
nizacja rolnictwa. Jarochowska w su-
gestywnym i pięknym obrazie lite-
rackim rysuje moment, gdy pełna
godności rezerwa chłopstwa, której
nie przełamały żadne cuda ziemi ra-
dzieckiej, przysła w zetknięciu z
pierwszymi kombajnami: „W grzmio-
cie silników, pod ukośne padających
promieniemi słonecznych chłopcy polscy
pedzą naprzód i krzyczą, krzyczą,
krzyczą pełnymi płucami, z całym
siłą. Kilku udało się wskoczyć na ru-
sające maszyny. Teraz usadowieni
na platformach rozglądają się z wy-
sokości niby kapitanowie okrętów na
swoich mostkach”. Entuzjazm chło-
pów wita maszynę wyzwoliciełkę z
nieowlotnością ciężkiej „ogupiającej”,
tepej pracy, torującej drogę do
przyszłości, w której praca stanie
się radością, dumą, dzwignią pełnego
rozwoju człowieka. „Ten pęd i po-
tężny krzyk wyraża wspomnienie
chłopskiej przeszłości twardej i trud-
nej, gdy ciemię pokorzonej w ciemni-
cie tasemki było za dno, aby um-
rzeć, a za młot, aby żyć. To krzyk
siłowności obranej drogi w przemi-
nie teraźniejszości wiejskiej. Ale
przede wszystkim jest to tym potę-
nym porwie olbrzymi entuzjazm
dla narodu, który dokonał tego, że
człowiek przestał być niewolnikiem
swej ziemi a stał się panem maszyn-
ny”.

Największym bowiem odkryciem
stał się dla chłopów polskich chło-
wiec radziecki. Jego wytrwałość i
ofiarność, jego mądrość i zaciętość
w pracy. Dzieje kolchozu „Milioner”
zduńmiewają ludzi nie bogactwem
zbiorów, nie zamożnością członków,
ani stałe rosnącą wysokością dniów-
ki obrachunkowej. Najwyższy po-
dziw budzą dzieje podniesienia tego
przodującego przed wojną kolchozu
z ruin i zgłizści, jakie pozostawił tu
faszyści. Ięz hartu wytrzymałości,
samożarcia, ile poczucia obowiąz-
ku społecznego, ile zaufania do wła-
snych sił i zaufania do socjalizmu,
ilej mądrości prawdziwych gospodar-
zy trzeba było na to, by zdobyć się
na rezygnację z podniesienia włas-
nej stopy życiowej bezpośrednio po
wojnie, po to, by inwestować, odbu-
dowywać i planować na wyrst, aby
realizować marzenie wspólne o roz-
kwicie kolchozu, szlachetne marze-
nie o sławie”. Budzi też podziw
stosunek ludzi radzieckich do swych
towarzyszy, ludzka serdeczność, ży-
wość, możliwa tylko tam, gdzie
człowiek pokonawszy „duszę posiadac-
czy” wyzbył się jednocześnie cech
drapieżnego zwierzęcia jakiegoś hodu-
je w nim społeczeństwo kapitalistyczne.
„Ten koniuch z brodą po pas
mówi do mnie i do Pajgerta w te
słowa: — my wam życzymy żebyście
zbudowali jeszcze lepszy kolchoz od
naszego. Tak to powiedział, jakby
pod samego serca ujął z całej du-
sy. — U nich to zwyciężają, ludzie
wychowani, jeden drugiemu nie za-
drości, dla drugiego narodu żyć-
wy. Starajcie się — powiedział — le-
piej od nas, spróbujcie nas przeci-
gnąć...”. Kombajn Kaczenko uczy
swoich polskich towarzyszy nowego
rozumienia słowa „moje”, rozumienia,
jakie narodzić się mogło tylko w so-
łeczeństwie socjalistycznym. Moje
jest to, nad czym pracuję, czemu po-
święcam swe myśli i zainteresowa-
nia, czemu służę swoim wysiłkiem i
co mnie służy, by życie moje było
lepsze, bardziej twórcze, szczęśli-
we. Tego właśnie stosunku do wła-
sności musimy się uczyć od ludzi
radzieckich, jeśli chcemy budować
socjalizm.

Pion doświadczeń polskich chło-
pów po zapoznaniu się z życiem wsi
radzieckiej, to potężny ładunek sa-
pahu i wytrwałości, świadomości ce-
lu i znajomości dróg jego realizacji,
którzy uczyni ich gorliwymi bołowni-
kami o lepszą przyszłość naszej wsi.
W ich doświadczeniach straszcza się
do wszystkiego, co zawiązało się w
krajowi socjalizm — pomoc,
przykład, przykład.

Maria Żmigrodzka



ZOFIA BARCHANOWSKA

SPOTKANIA

WOSTATNICH dniach
odwiedziłam w wo-
jewództwie łódzkim
i poznańskim kilku
chłopów, którzy w tym
roku byli na wyciecz-
ce w Związku Radzieckim. Oto garść
notatek z tej podróży.

„Przez tę wycieczkę o mało nie
wywróciła się u nas sprawa spół-
dzielni”. Tak mnie powitał w Ochod-
dzy (pow. Węgrów) Klemens Kamiń-
ski. Chłop pod pięćdziesiątę, gruby,
o twarzy okragłej i czerwonej śmiał
się do rozpuku. Widać nie raz już
powtarzał to zdanie słowo w słowo.
W okolicy stało się ono swojego ro-
dzaju sensacyjnym tytułem, po któ-
rym przypominają sobie ludzie zwy-
cięskie dzieje walki o spółdzielnię
produkcyjną w Ochodzie. Kiedy za-
poznaliśmy się z tymi dziejami słusz-
niejszy wydał się mi inny tytuł, np.
„Wycieczka pomogła zdemaskować
kulaków”. Kamiński zgadzał się,
ten byłby lepszy, bo akuratny. Ale
coś, przysłał się pierwszy i może nie
bez powodu... Bo rozpatrzmy się
w sytuacji. Sam Kamiński to był for-
malny poznalski. Z Reformy Rolnej o-
trzymał około 9 ha ziemi. Stał się
średniakiem we wsi, której przecina
wrażny podział klasowy.

Na 54 gospodarstw 13 sięga 15—20
ha, a 4 do 30 ha. Razem z nim o-
trzymało ziemię z Reformy jeszcze
osiem innych formali.

Ta grupa byłych robotników pra-
cujących wśród średniaków z dżada tu
wyrósł straszyla kulaków ale do
czasu jeszcze ich nie przerażała. Do-
pięro, kiedy wokół Ochodzy za gra-
nicznym kopcem Rgielsk, Sienna i
Łagowa przekształciły się w spółdziel-
nię produkcyjną, poczuł się jak w
matni. Spółdzielnia sąsiadka okaza-
ła się bowiem nie malowane. Rgielski
skup zboża wykonał w 190 proc.,
Sienna jeszcze we wrześniu już w 110
proc., a w Łagowej chłopcy mówią, że
siekierami! pocięli by takich, co by
złazy się odebrać nowe życie spółdziel-
cze. Kulacy od dwóch lat (od czasu po-
wstania spółdzielni) przeszli w Ochod-
dzy do oporu jawnego, marnotrawią
ziemię, nie wypłacając się z podatku
i nie wywiązując ze skupu. Wydawa-
ło im się, że hukkiem wokół sie-
bie i „determinacją” po staremu
zastraszają. Pierwszy cios na miejscu
zadali im w ub. roku właśnie Ka-
miński. Był formal, tak, ale teraz
średniak, świetnie gospodarujący —
6 krow, 2 konie, 12 świń.

On to stał się propagatorem uspoł-
dzielczania gromady. Agitator nie-
bezpieczny, bo wiadomo, zgodnie ze
statutem deklaruje konie i 4 krowy.
Dobry gospodarz zabija klina w
głowie innym dobrym średniakiem.
Więś stoi na hodowli, wspaniale łaki
dostarczają do syta paszy, w spół-
dzielni zatem rozwój bydła i świń
(ziemiakano-żytnia uprawa) mógł-
by być ustokrotniony.

I wtedy, to znaczy jesienią ubie-
głego roku, kulacy milnka. Inicjato-
rem spółdzielni i gromadzie wydaje
się, że otoczeni Rgielskim, Sienną i
Łagową, które święcą sukcesy w ze-
społowej pracy, bogacie dają wresz-
cie za wygrana. Powstaje Komitet
Założycielski ale jakiś niemrawy,
wlekający. Mija w tej nikości
wiosna 1952 r. Kamiński — zapro-
szony — jedzie na wycieczkę do
Związku Radzieckiego. Wydaje mu
się, że znajdzie tam osiągnięcia i
argumenty, które ostatecznie przeła-
mą w Ochodzie wahania i poderwa
średniaków do spółdzielni. Oczywi-
ście, znalazł czego szukał. W kolcho-
zie w rejonie Kamieńca Podolskiego
krowy dają 5 do 7 tys. litrów mleka
z zawartością 4,3% tłuszczu. Dzięki
czemu? Dzieki stosowaniu zimowego
wychowu cielak, selekcji stada, pra-
widłomowi płodozmianowi i mecha-
nizacji prac hodowlanych.

Kamiński po powrocie szczegółowo
przedstawia — program takiej, wy-
sokodajnej hodowli. Punkt za punk-
tem przemawia za nieodwołalną
potrzebą zespołowej hodowli, zespo-
łowej pracy. Wtedy na oczach grom-
ady demaskuje się średniak. Mes-
jasz, członek Komitetu. — Nie po-
trzeba rozwoju bydła! Nie potrzeba
większej mleczności! Mówi przez
niego kulak Chwała. „Spalił się”,
więcej kulacy kończą z polityką „wody
w ustach”. Grozą Kamińskiemu, że
go załutka. Wszystko stało się jasne.
Stary Komitet rozlatuje się, ale
równocześnie powstaje nowy z
dziewięciu nadzielonych ziemią for-
mali i jednego bezrolnego. Wiosną
1953 ruszają do wspólnej pracy.

Jan Włodarczyk w Orzechowie
pod Łodzią jest gromadzkim biblio-
tekarzem.

Wycieczka do Związku Radzie-
ckiego natchnęła go nowym zapalem.
Pogiębiła wiarę w rewolucyjną siłę
kultury. Oglądał ją w kolchozach
pod różnymi postaciami — czystni-
ctwa, kina, teatru, palacu dziecięce-
go, szpitala, telefonu na żniwnych
polach, kursów i kółek rozmaitych
specjalności. Olbrzymia różnica jaka
dzieli życie oglądanych kolchozów
od życia jego małej i na uboczu po-
łożonej wioski, doprowadziła Wło-
darczyka do bardzo ciekawych prak-
tycznych wniosków. Postawił tezę,
że nie bardziej i trafniej nie dzwinię
Orzechowa, jak właśnie „roboty
kulturalne”.

Orzechów liczy 20 gospodarstw.
Wioska leży 12 km od szosy, 30 km
od najbliższych miast: Aleksandro-
wa i Konstantynowa. Brak więc jakiejś
starej i silniejszej powiazań z o-
środkami życia politycznego i kulta-
ralnego powiatu a nawet gminy. I od
niej bowiem oddziela Orzechów do-
lina Neru.

— Wszystko u nas złożyło się na to
— objaśniał mnie Włodarczyk —
abyśmy żyli jak u Pana Boga na za-
piecku. Bo rachując. Po pierwsze —
nasza wioska powstała 25 lat temu
z osadnictwa. Chłopi za uciulanę
pieniądze zakupili ziemię po 4—5 ha
i na tych działkach przetrwali do
dzisiaj. Co to obecnie znaczy? A to,
że mamy dwa pokolenia w wojnie.
Ojcowie liczą dziś 50—70 lat. Oni
kupili tę ziemię, oni ją dzierżą. Dzie-
ci przysyła, mają dziś 20—35 lat,
gnieźdzą się w rodzinnych domach,
mało co żenią, bo sukcesja jeszcze
nie wladają, a do podziału wiele by
nie przypało. Ten brak usamodzielnie-
nia się dorosłe pokolenie odczu-
wałoby jeszcze dotkliwiej, gdyby nie
druga sprawa.

Z Reformy Rolnej dostaliśmy po
pół ha ląki (z majątku Malanów), a
to są ląki nad Nerem, najtłustsze ląki
w kraju. Bez żadnego zachodu da-
ją 80 q siana z ha. Toteż rozwinęła
się u nas hodowla. Każdy ma po 3 do
5 krow. Ale te ląki wzmogły jeszcze
bardziej gnuśność. Bo jest z czego
dobrze żyć a pracować nie trzeba.
Gromadzkiego pastucha zmówiła
wieś, pilnuje dzień w dzień wszyst-
kich krow a reszta próżnuje. Nie ma
trudności materialnych, można
próżnować, i to usypia dorosłe po-
kolenie, wyzwolone z przedwojennej
nędzy usypia jego energię i nową
inicjatywę.

Włodarczyk po powrocie z wyciecz-
ki począł się dwoić i troić w pracy
bibliotecznej. Rozczytał wieś i to w
broszurach i powieściach, przedsta-
wiających życie kolchozów radzie-
ckich, które sam oglądał. Nie ma dziś
w Orzechowie człowieka, któryby
nie znał Jarochowskiej: „Chleba i
soli”. „Jak żyją i pracują kolchoz-
nicy na Ukrainie”, „Na Ukrainie szu-
mi pszenica” i Babajewskiego „Ka-
walera Złotej Gwiazdy”.

Włodarczyk rozczytał wieś, to zna-
czy doprowadził do spontanicznych
zebrań i pogawędek. Starzy chłopcy
wdali się w publiczne dyskusje z
chłystkami, warta lepszej sprawy. Pa-
znościami poznane broszury sta-
nowiły w tych debatach materiał
rzeczowy. Starzy przycepiłi się do
kombajnów. Jaki? Ręcznie skosi
się za dzień pół hektara zboża, trak-
torem — 2,5 ha a może to być taka
maszyna, co za dzień skosiła i
wymłóciła 20—25 ha? Nie do wiary!
Tak się odzywał orzechowski zapie-
cek. A co robi kombajn ze słomą?
Odkłada na kupki. Acha...

A to pewnie na Ukrainie pszenica
rzadka, dlatego 20 ha zettne kom-
bajn. U nas by nie poradził, bo sie-
jemy gęsto. I na to znalazła się od-
powiedź. Po pierwsze, w Orzechowie
hektar daje 14 q, więc wcale nie gę-
sto. Po cóż igać. Po drugie nie o-
20—25 ha idzie, ale o równoważną
wartość produkcyjną. Kombajn ści-
na i młóci dziennie 60—70 ton i wszy-
stko mu jedno, czy zboże gęste czy
rzadkie. Acha... Starzy niezręcznie
zaczęli o najdalszą perspektywę
rolnictwa. O tę, która właśnie mogła
i obudziła młode pokolenie. Babajew-
ski z elektro-stacją zapalił ich jesze-
cie bardziej. Powstał już w Orzecho-
wie Komitet Założycielski, złożony z
najbardziej czytelników. — Ma
się rozumieć — powiada Włodar-
czyk — młodsze to a dorosłe i trochę
już przegrzane pokolenie.

Antoni Stasiński jest najmłodszym
członkiem spółdzielni produkcyjnej

w Rudnikach (gm. Opalenica, pow.
Nowy Tomys). Ma 29 lat. Tego to
najmłodszego wybrał zespół na prze-
wodniczącego. W Komitecie Powiato-
wym powiada, że Stasiński mówią
jest kiepskim, ale gospodarzem za-
wołanym. Na polach spółdzielni słów
mu nie brakuje. Z pamięci wylicza:
„wczoraj zasialismy 55 ha pszenicy,
do zasiania jeszcze 180 ha żyta”.

— A ile krow?

— 35 dojnych, 3 jałowice, 11 cieląt,
1 buhaj, u 53 członków — 70 sztuk,
razem dorosłych — 105, to znaczy 18
sztuk na 100 ha, nasycenie wcale do-
bre.

— A co Wam dała wycieczka?

— Co? Reformę mojej reformy.
Po powrocie moje sprawozdanie to
była samokrytyka na całego.

Stasiński bowiem doprowadził
spółdzielnię do bardzo składej or-
ganizacji pracy. Wyodrębnione zo-
stały brygady: hodowlana, podwórz-
owa, i dwie polne: konna i piesza. Z
tych ostatnich był Stasiński szcze-
gólnie dumny. Przy 33 koniach ze-
spółu, wydawało mu się słusznym
stworzyć konną brygadę. A tu na po-
lach kolchozowych na Ukrainie zoba-
czył organizację zgola inną. Pracow-
nicy polowi dzielili się nawet na kil-
ka brygad ale zawsze brygada była
mieszana: konno-pieszna. Dlaczego?

Po pierwsze — większa odpowie-
dzialność. Brygada taka ma bowiem
przypisane określone pole płodo-
zmiannu i wszystkie prace konne i
piesze wykonuje na nim od orki aż
do sprzętu, czyli za pole i za cały
proces produkcyjny może odpowia-
dać.

Po drugie — przydział pola na sta-
le prowadzi do lepszego poznania
warunków gleby, uprawy i plonów.
Brygada zna każdy dołek i górkę,
wie gdzie śnieg zależy a gdzie pre-
dło staje itd. Dlatego może prowadzić
najbardziej racjonalną uprawę, sto-
sować odpowiednie nasiona i praw-
dłowe zabiegi pielęgnacyjne.

Po trzecie — kolchoz może prowa-
dzić kontrole wyników pracy brygad,
porównywać je i wyciągać wnioski
dla usprawnienia pracy.

Po czwarte — dopiero brygady
konno-pieszne pozwalają wprowadzić
współzawodnictwo na polu.

Samokrytyka utalentowanego i od-
danego spółdzielni przewodniczącego
stała się podstawą przeorganizowa-
nia brygad polowych. Spółdzielnia
zrobiła nowy krok naprzód.

W Felicjanowie (pow. brzeziński)
zastanawiałem się nad nowozałożoną spółdzielnią
produkcyjną. Duża w tym zasługa
Zofii Kornackiej.

Na wycieczkę do Związku Ra-
dzieckiego polecała świadoma od-
powiedzialności za położenie jej wsi.
Sytuacja bowiem Felicjanowa do-
wodziła do zasadniczych rozstrzygnięć.
Przed wojną mieszkali tu Niemiec-
cy koloniści, którzy w 1945 r. uciekli
razem z ustępującymi oddziałami
hitlerowskimi. Na gospodarstwach (z
Reformy, 4—5 ha) osiedli chłopcy z
okolicznych wsi, biedota mało lub
bezrolna. W większości młode mał-
żeństwa. Młode małżeństwa, to zna-
czy młode małżeństwa. Brak więc
większej siły roboczej i co gorsze,
zwiazanie rak tym, które są. W tych
warunkach Felicjanów nie wyszedł
poza żyto i kartofle. A to znaczy:
mało dochód, kiedy dla przybywają-
cych dzieci powiększenie dochodu
stało się coraz pilniejszą konieczno-
ścią.

Dochód młoda powiększyć kon-
trakcją: burak, rzepaku, lnu
oraz lepszą uprawą zbożowych i o-
kopych. Do Łodzi nie daleko,
można by hodować warzywa ale...
brak rak do prac. Brak oczywiście
w starym porządku pracy rozprosz-
kowanej indywidualnie.

Kornacka wiele widziała w kol-
chozach. Ale po powrocie całe bo-
gactwo obserwacji i doświadczeń
zgromadziła wokół sprawy dla Feli-
cjanowa najważniejszej.

Oto w kolchozie im. Budiennego
jedna brygada polowa złożona z 38
osób, przy pomocy 9 traktorów i 3
kombajnów obrabia 1156 hektarów.
A u nas 300 ha ziemi i 60 rodzin,
POM mamy w Kuluszkach — jest
wysokie, jest rozwiązanie, jedyne i
wspaniałe.

Felicjanów wszedł już na nową drogę.

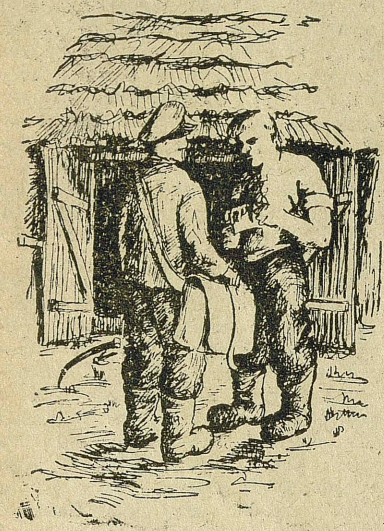
Zofia Barchanowska

MARIAN PILOT

ZWYCIĘSTWO LISTONOSZA

DAWNIEJ w Rachowie listonoszem był Szumniak. Tęgi, uśmiechnięty, gaduła, był jednym z najlepszych listonoszy. Wprawdzie nigdy prawie na czas nie wracał ze zwykłego objazdu — ale ostatecznie wybaczano mu tę „wadę”. Miał bowiem za to w swoim obwodzie najwięcej zaprenumerowanych gazet i rozsprzedanych książek. Ze swoją roześmianą gębą wlaź do każdej chałupy, potrafił namówić każdą kobietę, jeśli nie na „Gromadę” to na „Przajaciółkę”.

Kiedy więc Szumniak dowiedział się, że teraz ja będę rozosił gazetę w Rachowie, klepnął mnie po ramieniu i zaczął opowiadać:



„Roboty będziecie mieć kupę, ale w Rachowie ludzie uświadomieni czytają gazety. Co to tam — zresztą dla ciebie: młody jesteś! Ja stary a dałem sobie radę. Tak! Coś nie oś zrobiłem, ale niektórych trzeba jeszcze zaagitować. Jedno ci powiem: do Siemińskiego, tego na górce, nie chodź. Chłopsko źle jak wściekły wilk. A babsko też takie, że psa w podwórzu nie trza! Poszedłem ci tam raz z gazetą — a on „idź do diabła!” Baba z pyskiem wyjechała...”

Patrzyłem więc tylko z daleka na zabudowania Siemińskiego i nie mogłem rozstrząsać kto on: kulak, średniak, biedniak? Siemiński mieszkał „po szlacheczkę”, na osobnym wzgórzu wśród pól. Z zachodniej strony otaczał zabudowania Siemińskiego las; mierny wprawdzie, rzadziutki — same sosny — ale zawsze las. Uważałem, że to po kulaku.

Razu pewnego dostałem list do Siemińskiego.

Ide więc po stronnej drodze na to wzgórze Siemińskiego i rozglądam się. Widzę, chałupa duża wprawdzie, ale garbata, strzechą jak śtulitnia, okna niby kocie ślepki, do stodoły przystawiony prymitywny chlew o ścianach z wielkich głazów. Od razu zmiarkowałem: nie bogacz. Dawno by sobie nową chałupę postawił. Zaciekawilem się wtedy jeszcze bardziej: jeśli nie kulak — to czemu wypędził Szumniaka? Wiedziałem przecież, że tylko kulacy pędzili nas niby złodziei, biedni chłopcy przyjmowali nas dobrze.

Otworzyłem furtkę i niezdeterminowany przystanąłem. Nie wiedziałem: wejść do chałupy czy oddać list mężczyźnie siedzącemu pod stodołą. Naprawdę kosiłko.

— Dzień dobry! — pozdrowiłem go.

— A dzień dobry... z czym?

— List — powiedziałam krótko.

— A, list! Przeczytaj pan! — powiedział nie biorąc w ogóle listu do ręki.

Zdumiałem się w duchu:

„Co też ten Szumniak mi wygaduje! Przecież to po prostu analfabeta. Kursu tu nie było, czy jak? Muszę się ludzi popytac”.

Siemiński widać coś poznał po mnie, bo zaprzeczył:

— Nie myśl pan, że czytać nie umię! Ino co ta biednemu człowiekowi po czytaniu!

— Zaprenumerujcie gazetę — a przekonacie się... — zacząłem, zadowolony, że ten temat sam się nasunął.

— Dość mam pisaniny! — gwałtownie przerwał mi Siemiński. — Ja przez grzywny nie dostałem ubezpieczenia za dwie krowy! Niech to jasny pieron!

— Jak to? — zapytałem zdumiony.

— Jak to, właśnie tak to! — przytłumionym głosem zaczął mówić Siemiński. — Jeszcze na wiosnę zaczęły mi krowy. Obydwie. Nagle. Zaniesły mi się obierzeli. Widzę: może być źle, więc proszę sąsiada, by pojechał po weterynarza. Pojechał i przyjechał — sam. Weterynarz — powiada — nie przyjeździe, bo dopiero wrócił skądś i mówi, że jest zmęczony. No i krowy moje pozdychały. A potem Pakiewicz, ten weterynarz, nie chciał dać zaświadczenia, że krowa była u niego zgłoszona i lekowana. Co się to człowiek naprosił — nic. Bez zaświadczenia nie chcą wypłacić ani grosza. No, czytaj pan — powiedział mi niecierpliwie. — To pewnie też z Ubezpieczeń...”

List był bardzo krótki:

„Zawiadamiam obywatela, że nie możemy wypłacić stawki ubezpieczeniowej wskutek braku niektórych dokumentów”. — Słag by ich trafił!

— rzekł Siemiński. Wstał, wziął list z moich rąk i począł go drzeć. Wiedziałem, jak drzą jego szare, podobne do grud ziemi ręce.

— Słuchajcie! — powiedziałem nagle. — Ja to załatwię. Pomogę Wam! Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób, ale czulem, że muszę to załatwić, że to moja, zetempowska sprawa.

Nie warto, nie warto! — ciężko machnął ręką Siemiński. Nic pan nie zrobisz!

IRENA SCHEUR

Książka radziecka zdobywa czytelnika



Foto CAF

LITERATURA radziecka zajmuje w naszym krajowym ruchu wydawniczym poczesne miejsce. Rok rocznie przybywają nowe pozycje, miliony tomów wędrują na półki księgarskie, do miejskich i gromadzkich bibliotek. Gdziekolwiek byśmy się nie znaleźli, do jakiegokolwiek nie dotarli biblioteki — wszędzie napotkamy dzieła Gorkiego, Al. Tołstoja, F. Dostojewskiego, Erenburga i Majakowskiego.

To wszystko prawda, lecz równocześnie pamiętać trzeba, że tradycja rozczytywania się w przodującej literaturze radzieckiej jest bardzo jeszcze młoda, obejmuje — na dobrą sprawę — powojenne lata. Na wsi tradycja ta zaczęła się jeszcze później. Niemal przecież uprzedni, niewiasty, lub wręcz wrogiej propagandy należało przełamać nim obok poczytnych klasyków polskich znaleźli się w rękach chłopskich czytelników pisarzy radzieckich.

Jakże odbiera współczesna literatura Kraju Rad nasz chłopski czytelnik, do czego mu służy ta literatura na wsi przed wojną, jak wzbogaca życie chłopskie, jak je zmienia? — oto niezwykle ważne pytania, na które winni znaleźć odpowiedzi nasi politycy kultury. Przed nami wciąż jeszcze otwarta bogata dziedzina badań nad czytelnictwem radzieckiej literatury.

Materiał już jest i to wcale bogaty. Dziesiątki tysięcy wypowiedzi chłopskich, pisanych w ramach

dorocznych konkursów czytelników czekają na poważne, naukowe opracowanie.

Wystarczy wziąć na warsztat pierwsze z brzegu wypowiedzi, aby przekonać się, że ze świecą dziś szukać chłopskiego miłośnika książki, który by nie wymienił co najmniej jednej przeczytanej i przemysłanej pozycji radzieckiej.

Uczyniliśmy właśnie w ten sposób i oto mamy przed sobą swojego rodzaju metrykę czytelnictwa 16-letniej dziewczyny Kingi Dudek z gromady Maków (pow. Miechów). Kim jest ta dziewczyna, zwierająca się z wrażen po przeczytaniu lektury? Skończyła 7 klas szkoły podstawowej, jest ponad wszelką wątpliwość bardzo zdolna i rada by się dalej kształcić, ale na przeszkodzie stanęła wola rodziców, którzy uparli się, by pozostawić córkę przy sobie. Oto mame prawie dramat wiejskiej dziewczyny.

Czyta bardzo dużo, dość wspomnieć, że wymieniła więcej książek niż powinna z racji udziału w Konkursie Czytelników Bibliotek Wiejskich. I może dlatego doszła do takich refleksji nad „Antkiem”. „Należałoby zwrócić uwagę na uzdolnione jednostki w danej gromadzie, aby je kształcić, by kiedyś przyczyniły się do rozwoju kultury w swojej gromadzie”. Długoży w tej wypowiedzi nutka gorzkiej dziewczyny pozbawionej możliwości normalnego rozwoju intelektualnego. Ale też widać przywiązanie do rodzinnej gromady, rzetelną troskę o jej kulturalny rozwój. Odnosi się wrażenie, że mamy tu do czynienia z potencjalnym, dobrym w przyszłości pracownikiem kultury w macierzystym terenie.

Kinga Dudek przeczytała „Noc i dzień” Simonowa, książkę pasjonującą wielu chłopskich czytelników, zachwycającą ich głównie bohaterką obroną Stalingradu, przełomową fazą minionej wojny. A Kinga? Na coż ona zwróciła uwagę, co ją zachwycało w radzieckiej powieści? „Na szczególną uwagę zasługują postaci Ani... Ania poświęciła wszystko i całe swoje młode życie na obronę ojczyzny ciemniejszej przez hitlerowców. Jest siostrą miłosierdzia, opiekuje się rannymi, przynosi rannych z frontu pod grudem kuli, lecz nigdy nie pozali się najmniejszą skargą na ciężkie życie. Nawet w tym momencie, gdy ciężko ranną składają na stół operacyjny, nie słychać nawet jęku.”

Gazetka gminna

Powiatowy geniusz

W ludziach drzemia głęboko nieraz ukryte talenty i trzeba dopiero wstrząsających wydarzeń by się ujawniły. A szczególny ich posiadacz bywał w powiecie naszym gwiazdą. Te oczywiste dla każdego prawdy powierzył ostatnie miesiące w życiu pana prezesa PZGS w Walcu ob. Mszczuka Antoniego.

Jego szare, zwykłe, urzędnicze dni przegazował niedłuszenie kontrolera ZSCH ob. Kuźniakowskiego, z którego wynikało, że za wiedzą prezesa, a nawet przy jego współudziale, szczyt się w poszczególnych GS-ach poważne na-



dużycia. Kuźniakowski upodobał sobie Mielęcin, gdzie wykrył niedobory kasowe sięgające 120.000 złotych.

Nareszcie, jakas sprawa, nareszcie przeciwnik, też groźny co prawda, ale zawsze! Z powodu takiej sumy pieniędzy nie będzie się przecie ob. Mszczuk osobście fatygował. I oto widzimy w akcji działającego ob. Ligę, delegatka PZGS, słyszyny wyrazienie, jak szkiełko po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Niezwykłość ob. Mszczuka zajaśniała dopiero w pełni na szczeblu powiatowym, w czasie słynnych posiedzeń, gdzie kilkunastu kontrolerów daremnie usiłowało skrytykować działalność walczyńskiego PZGS-u. I tożby przypuszczać, widząc za prezydałnym stołem cichego ob. Antoniego, że ma przed sobą powiatowego geniusza! Jak szkiełko, że po gromadach nieszczerne kontrolera ZSCH. Kuźniakowski próbował wejść na drogę urzędową, lecz nie spodziewał się, że ob. Mszczuk czoje się w papierkach, jak ryba w wodzie. Pan prezes wydał kilka orędzi i memoriałów do chłopów, szereg sprostowań, wreszcie naukowo dowiódł, że drobniagły suwanego przez Kuźniakowskiego, nie podpadają pod kompetencje prezesa!

Prezes podobny medalowi

Nasz prezes ZSCH na gminę Koszalin przypomniał po trosze medal, a to dlatego, że też posiada swoje dwie strony, dwa rozmaite oblicza. Jedno urzędowe, na pokaz, ale o nim pisać nie będziemy, ponieważ każdy chłop z okolicy zna je aż nadto dobrze. Chodzi głównie o to drugie, znane do niedawna tylko nielicznym wtajemniczonym.

Sprawa owych „dwóch stron” jednego prezesa wzbudziła uwagę i zaniepokojenie wielu chłopskich czytelników, zachwycających ich głównie bohaterką obroną Stalingradu, przełomową fazą minionej wojny. A Kinga? Na coż ona zwróciła uwagę, co ją zachwycało w radzieckiej powieści? „Na szczególną uwagę zasługują postaci Ani... Ania poświęciła wszystko i całe swoje młode życie na obronę ojczyzny ciemniejszej przez hitlerowców. Jest siostrą miłosierdzia, opiekuje się rannymi, przynosi rannych z frontu pod grudem kuli, lecz nigdy nie pozali się najmniejszą skargą na ciężkie życie. Nawet w tym momencie, gdy ciężko ranną składają na stół operacyjny, nie słychać nawet jęku.”

Było tak, że oblicze urzędowe pana prezesa przetrzało podania mało i średniolichych chłopów proszących o kredyty i pożyczki natychmiast spaść. A to drugie, nieznane zwykłym śmiecielnikom oblicze, zabrało się w zastępstwie do rozdzielania pieniędzy.

I któż je otrzymać?

1. Ciesielskiemu Stanisławowi na kupno 6 świń i likwidację 5 ha odgrodów.

2. Sobczykowi Stanisławowi na zakup 5 świń.

3. Zander Wojciechowi na 4 świnki i zagospodarowanie 20 ha odgrodów.

4. Anuszkowi Konstantynowi na 6 świń i 5 ha odgrodów.

A teraz napiszemy co to są za biedni chłopcy. Pierwszy z nich to „chłop z Marszałkowskiej”, sanacyjny adwokat, znany u nas bunelami. Drugi natomiast jest zegarmistrzem, uprawia ponadto zawód dentysty. Ale sztytuł przez skromność nie wywiesił. Trzeci i czwarty, choć zbywa im na naukowych, posiadają przecież wymowne tytuły spekulatorów i kombinatorów.

Zaraz po rozdziale kredytów obudziło się urzędowe oblicze prezesa i zniknęło w piwnicach samopomocowej gospody wraz z obliczem drugim i szczerliwie wyróżnionymi „chłopami”.

Ukryte oblicze naszego prezesa wydobył się spod stołu i zaprowadził do Prekuratora. Dział pan prezes nie przypomniał już medalu. Ma bowiem jedną tylko stronę w kierunku ZSCH w gminie Koszalin — oblicze wroga i szkodnika.

Jan Biegala

Na biegunie?

Czytałeś kiedyś, że jest takie miejsce koło Bieguna, gdzie dzień trwa równo pół roku. Taką samą miarę czasu zastanawiam, jeśli chodzi o załatwienie spraw robotników leśnych. Nadesłanie Kozłowskiego. Powiadają wam, co za wspaniały wynalazek dla biurokratów, przy tym zdumiewająco prosty w pomysłach. A objaśnię go na przykładzie.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Do Nadesłania Kozłowskiego przysłał piaszczę gumowe dla robotników leśnych.

Kumoterskie kwalifikacje

O referencie skupu w powiatowej mleczarni w Siemiatyczach — Izbickim konsantym powiada, że to „piewszczytny fachowiec o wysokich kwalifikacjach”. Kwalifikacje, nie można powiedzieć, pan prezes nie posiadał. Właściwie to był z bratem skóre z okolicznych chłopów, jeden jako sklepikarz, a drugi jako restaurator.

Od pewnego czasu zauważyliśmy, że pan referent upodobał sobie nasze Ostrożany. Ładnie u nas jest i grzybowo było wtedy zatrzęsienie w lesie. Ale co tam przyroda dla naszego referenta. Aż do znużenia powtarzały się takie oto dialogi między filiarzem, Kiskiem Franciszkiem a referentem:

Filiarz: Panie referencie brudno w fili, palic nie ma czym, muszę węgiel położyć. Kiedyż wreszcie przydziełicie wojno i wczmierz nadal brud i brak węgla.

Referent: Co chcecie od mnie... Ja tu rządzą, czy jak? Jak państwo samo nie ma, to i nie daje. Z pustego to i Salomon nie naleje — tu typani pozwolę mówić okiem w stronę okolicznych chłopów.

A tymczasem po cichu ubijał interes. Wypatrzył sobie u niejki Nesterowicz Jadwigi galeantowej wieprzka i patrzył, że tu raz zajął się niecierpliwie samochodem pan referent ze szwagierką i dwie stare znajome „po fachu” jeszcze zabrali „na cele społeczne”.

A w międzyczasie nadal brud i brak węgla. Destawcy zaczęli narzekać: jak się ten filiarsz stara? Co to za robota? — a referentowi tylko w to grał. Jak chłopci narzekają, to on jeszcze: — E, żeby tylko było, to leśnicy dają ten waz filiarsz... Ale to tylko do czasu, — Chłopi nadstawiali ucha.

I co się robi? Wychodzimy jednej niedzieli z kosiółka, a tu nas n.e.się nie spodziewających zapie pan referent: — Ano chłopy, walcie na zebranie... Zebranie, jakie? — pytamy. — Mieczarskie, ma się rozumieć, filiarsz będzie zmieniał. A z drugiej strony ależki Miłkowskiej gania na rowerze swoich znajomych i zapęzdza na zebranie. Zebrano się nas ze 30 chłopów na stółki-kudzieleściu dostawców i słuchamy, jak temu filiarszowi wyczytuje referent wyrok: „...z polecenia władz odgórnych zmienia się filiarsz... Obowiązek przejmie ob. Miłkowski. Zaprotokółować proszę, a soltyś niech poświadczy.” To my ma się rozumieć do filiarsza i mówimy: — Coż to, jak, brank, bez dania racji dasz się wyrzucić, a umowa o pracy u was nie? Ale referent krótko uczył: — Nie ma co chłopcy gadać, tłumaczcie, to leśnicy dają ten waz filiarsz... Ale to tylko do czasu, — Chłopi nadstawiali ucha.

Tylko, że na chłepom to się nie spodobało. Nauczaliśmy się już poznać co to wrog klasowy i tegi kumoter.

Baltazy Barnaba

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 od wewnątrz 91, 63.

Warunki prenumeraty: miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29102

Marian Pilot

Piotr Pigwa